TĘCZA

PISMO POŚWIĘCONE LITERATURZE

ZAWIERAJĄCE

WYBÓR POWIEŚCI

NAJNOWSZYCH AUTORÓW.

TOM II.

WARSZAWA.

1 8 3 9.

2

Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

TĘCZA.

Choć walki o pierwszeństwo ze słońcem nietoczy,
Ale miłemi barwy wdzięcznie bawi oczy.

SMUTNE PRZYPADKI ROZBITKÓW.

Okręt holenderski nazwany Smok, płynący do Indji wschodnich, rozbił się przy brzegu nieznanego lądu, na południowém morzu, w październiku 1658 roku. Kilku podróżnych, którzy zdołali wysiąść szybko w szalupę, dopłynęło szczęśliwie do Batawji, i ci opowiedzieli co ich spotkało. Na tę wiadomość, towarzystwo wschodnio-indyjskie wysłało natychmiast okręt w tę

okolicę, gdzie to nieszczęście się zdarzyło w celu niesienia pomocy biednym rozbitkom, jeśliby który z nich ocalił się, dopływając do jakiéj niezamieszkałéj wyspy. Ci którzy w szalupie dopłynęli do Batawji, służyli za przewodników.

Szczęśliwie dopłynęli do miejsca gdzie był ów okręt rozbity, i zarzucili kotwicę w pobliskości, aby ztamtąd czółnami zbliżyć się do szczątków zniszczonego statku i na pobliskich wyspach szukać czy nie znajdą uratowanych rozbitków. Że niektórzy z nich musieli się tym sposobem ocalić z rozbicia, to było pewném, ujrzeli bowiem na brzegu jednéj bezludnéj wyspy, coś nakształt rozbitego namiotu, ale który bardzo był od wiatru porozrywany. Nie okazał się jednak nigdzie żaden ślad ludzki, wszystko było puste i opuszczone. Nowo przybyli, śledzili na wszystkie strony, ale nie znaleźli nic takiego, z czegoby wnosić mogli o losie tylu zostawionych na okręcie ludzi.

Wielkie było pomięszanie i żal gorliwych Hollendrów, kiedy wokoło siebie widzieli pustynię, w któréj głuche tylko panowało milczenie. Przybijali z czółnami do rozmaitych innych punktów wyspy, szukali nie tylko na brzegu, ale małemi gromadkami szli nawet w głąb wyspy; to wszystko jednak było daremném usiłowaniem. Nakoniec

zapalili ogień na wzgórkach, krzyczeli i strzelali z armat; — żadnéj odpowiedzi. Trzeba było zrzec się nadziei i do Batawji wracać, ponieważ zbliżała się burzliwa pora roku. Dowódca wysłał raz jeszcze do wyspy statek z trzynastu ludźmi dla nabrania słodkiéj wody. Obfity strumień ułatwił tę okoliczność; ale podczas napełniania beczek, niebo się zachmurzyło, burza nastała, straszliwy orkan zawył, ciemność okropna zapadła i wysłani po wodę żeglarze, stracili z przed oczu swój okręt. Z trudnością dopełnili celu swéj podróży, przeczekali gwałtowną burzę, i dopiero kiedy się wały nieco uspokoiły, wypłynęli z beczkami wody ku miejscu gdzie ich okręt stał na kotwicy. Ale okręt zniknął i nigdzie nie było go widać. Burza zerwała liny od kotwic, i sternik widział się przymuszonym na pełném morzu szukać ocalenia. On i cała osada, tego byli mniemania, iż towarzysze ich wysłani po wodę w powrocie już do okrętu, napadnięci przez gwałtowną burzę, utonęli niezawodnie, dla tego prosto popłynął ku Batawji z podwójném smutném doniesieniem.

Któż opisze przerażenie i rozpacz tamtych pozostałych, kiedy ujrzeli się zupełnie opuszczonemi? Pierwszy opowiadacz tego wypadku tak

się wyraża: Najodważniéjsi nawet oniemieli; język jakby był przyrośnięty do podniebienia, a serce zamknęło się od strachu i rozpaczy. Nieszczęśliwi musieli wracać się na brzeg, aby nie zginąć wpośród zburzonych bałwanów. Ale nie mieli żadnych zapasów pożywienia, a wyspa nie podawała nic co by mogło na pokarm służyć.

Góry składały się z opoki, doliny były puste i niepłodne, płaszczyzna pól, była to piaskowa, martwa okolica, a brzeg morski składał się z szeregu twardych skał, o które morze z okropnym rykiem rozbijało swe wały. Wysilenie i głód, wyczerpały siły tych nieszczęśliwych, zimno i wilgoć powiększały jeszcze ich przykrości uważali się już za ofiary skazane na śmierć. Jednakże zamiłowanie życia, przemogło nad rozpaczą, głośne ich narzekania, zmieniły się w ciche westchnienia, i każdy starał się znaleść na téj dzikiéj wyspie korzonków przynajmniéj i ziela, tyle, żeby jakkolwiek przez czas niejaki życie utrzymać. Odważniéjsi wmawiali męztwo w trwożnych, tą ciągle przejęci nadzieją, iż i oni mogą być jeszcze ocalonemi, bo dzielni Hollendrzy nie lenią się pomyśléć i popracować nad pomożeniem w złym razie, sobie albo bliźniemu.

Wzajemne pocieszania, zdołały istotnie położyć tamę rozpaczy, Przezornie wzięli się naprzód nieszcześliwi, do potrzebnych robót, ku zasłonieniu się od burzy, Po długich, niezmordowanych poszukiwaniach, znaleźli nakoniec pomiędzy skałami ślimaki, które mogły posilić cokolwiek zgłodniałe ich żołądki. Ale i to jakkolwiek nie zbyt przyjemne jedzenie, nie na długo mogło im starczyć, a widząc w każdym przypadku śmierć przed oczyma, postanowili raczéj zaufać raz jeszcze wałom morskim, ponieważ tam w najgorszym razie rozbiją się i prędką śmierć znajdą, aniżeli czekać jéj na dzikiéj wyspie, zwolna zbliżającéj się, długą i dręczącą drogą głodu. Prócz tego pochlebiali sobie, że przypłyną do jakiegobądź brzegu, na którym znajdą co więcéj jak na téj odludnéj wyspie. Wszystkich sił zatém dołożyli aby czółno które mieli przy sobie, uczynić zdolném do żeglugi, napełnić beczki wodą i przygotować zapas ślimaków i korzeni; i nakoniec opuścili tę wyspę, na któréj żadnéj żyjącéj istoty nie znaleźli.

Wkrótce czółno wypłynęło na wysokie morze i wyspa zniknęła z ich oczu. Najstarszy sternik okrętowy, który znajdował się w liczbie opuszczonych trzynastu, jedno-zgodnie otrzymał wła-

dzę naczelną na statku. Z wielkim trudem statek walczył przeciwko wałom, cudem tylko zdawało się, że ci nieszczęśliwi zdołają dostać się do najbliższego mieszkalnego lądu. Kiedy pomyśleli, że do Jawy mają jeszcze czterysta mil płynąć, odstępowało ich męztwo. Przy pięknéj pogodzie wśród dnia, zdawalo im się iż naprzód ku celowi płyną, ale w ciemnéj nocy niezdołali już kierować się, a rzucające łodzią ich wały, groziły im że nie ujrzą następującego dnia. Co chwila sądzili że już w przepaść lecą i wzdychali tylko do nieba o prędką śmierć. Serca i języki nie służyły do niczego, tylko do gorącego życzenia śmierci, łzy rozpaczy spływały po licach najodważniéjszych i żaden promień nadziei nie oświecał nocy ich smutku.

Jedyne pożywienie, którém nieszczęśliwi przedłużali swoje jestestwo, zaczęło gnić, i musiano wyrzucić je w morze. Teraz nic już nie mieli prócz wody. Noce były dotkliwie zimne a w dzień słońce prostopadłe paliło ich głowy.

Już wszyscy pracą i głodem wycieńczeni, zaczęli się poddawać zupełnéj rozpaczy, kiedy pewnego poranku, z najżywszą radością, ujrzeli ziemię. Były to południowe wzgórza Jawy. W pierwszém zamięszaniu radości, skierowali wprost do

wyspy, z niebezpieczeństwem rozbicia się co chwila. Przypadek wiódł ich ku przyjemnéj dolinie, która zdawała się wzywać uprzejmie do wylądowania. Wszystko zieleniło się tu i nad niskiemi owocowemi drzewami i wonnemi krzakami, wysoko wznosiły się niebotyczce kokosowe palmy. Czysty strumień spływał obficie w morze; tu więc mogli oczekiwać zupełnego ulżenia swoim cierpieniom. Ale ich oblicza zasmuciły się nagle, kiedy postrzegli że nadzwyczajna gwałtowność waru, niepozwala im w żaden sposób w tém miejscu wylądować. Dziewięciu z pomiędzy żeglarzy, nie mogło się oprzeć pokusie sprobowania, czy nie zdołają wpław dostać się aż do brzegu. Rzucili się w morze, i nie zważając na krzyk towarzyszy, szczęśliwie do lądu przybyli. Tu poskoczyli natychmiast ku palmom kokosowym i zaczęli zaspakajać głód swój nie myśląc już o dalszym losie. Nakoniec kiedy zwrócili wzrok na morze, ujrzeli statek, którym towarzysze ich zaledwie już zdołali kierować, tymczasem noc zapadła i okryła ląd i morze czarną swoją zasloną.

Wiatr, który nad wieczorem powstał, zwiększył się do tego stopnia w nocy, iż czterej żeglarze,

którzy pozostali w czółnie, musieli oddalić się cokolwiek od brzegu, aby uniknąć nagłego rozbicia. Sądzili, że wypada im przez całą noc krążyć tylko niedaleko od brzegów i czekać dnia, aby się odważyć przepłynąć war nadbrzeżny. Ale pęd wałów uniósł ich daleko stamtąd, i nazajutrz, ujrzeli przed sobą inny ląd, zupełnie tamtemu nie podobny, sterczący mnóstwem ostrych skał i gęstych dzikich zarośli. Kiedy wiatr cokolwiek ustał, zbliżyli się do przystani u wejścia na obszerną dolinę, szczęśliwie wyszli na ląd i pobiegli do lasu, gdzie znaleźli kilka ledwie drzew smaczny noszących owoc. Posileni tym sposobem, postanowili szukać daléj swoich towarzyszy, Dwaj zostali na straży przy szalupie, dwaj zaś inni, poszli wzdłuż brzegu, w nadziei znalezienia owéj płodnéj doliny. Ale wkrótce niepodobne do przebycia skały i rzeka w poprzek płynąca, przymusiły ich do powrotu, poczém wszyscy wsiedli w szalupę i wypłynęli na morze. Zwrócili się ku stronie waru ale wnet porwani gwałtownością jego, uderzyli o skałę i statek ich rozbił się.

Zaledwie nieszczęśliwi zdołali życie swoje ocalić, z największém wysileniem dostali się do tego samego lądu który tylko co odstąpili.

Z trudnością, wyszukiwali pokarmów, i szli wgłąb lądu, to przez spadziste pnąc się skały, to przez bagniste brnąc okolice. Nigdzie nie znaleźli śladu ludzkiéj stopy, i stan ich był godnym politowania. Przepędziwszy noc pod drzewami, dość spokojnie, i następnego poranku rozpocząwszy znowu poszukiwania, ujrzeli niespodzianie dwa małe czółenka rybackie, i ścieszkę która od brzegu strumienia, wiodła w przyjemną krzakami zarosłą dolinę. Ścieszka ta zawiodła ich do małéj chatki, przed którą stał Indjanin suszący ryby. Przestraszył się ujrzawszy czterech białych, którzy zaledwie zdołali się zbliżyć do niego, podobni bardziéj do szkieletów, niż do żyjących ludzi. Nie widział on zapewne nigdy białych ludzi, dla tego podziwienie jego było nadzwyczajne.

Dwaj z pomiędzy Holendrów, umieli cokolwiek po Malajsku i tym sposobem mogli się porozumieć z Indjaninem. Słuchał on opisu ich nieszczęść z widocznem współuczuciem, ofiarował im swoją chatkę na mieszkanie, i podzielił się z niemi wszystkiém co posiadał. Ryż, suszone ryby i nieco owoców, były dla nich posiłkiem, który wkrótce przywrócił im moc fizyczną. Dobry starzec wszelkiemi sposobami starał się im

dopomódz i chętnie przystał na to aby zostali przy nim i dzielili jego zatrudnienia. Nauczył ich rozmaitych sposobów chwytania dzikich koz i innych zwierząt, a ponieważ polowanie to dobrze im się udawało i bez wielkiego trudu zgromadzili mnóstwo żywności, nie byli zatem ciężarem swemu gospodarzowi. Żyli z nim w najprzyjaźniéjszych stosunkach, coraz lepiéj rozumieli się wzajemnie, i dni upływały im przyjemnie. Starzec tém bardziéj przywiązał się do nich, ponieważ cieszył się iż Bóg zesłał mu tych nieszczęśiwych, aby mu podać sposobność do dobrego uczynku.

Spokojność panująca w tém cichém odosobnieniu, zakłóconą została przez bandę rabusiów, którzy włóczyli się nad brzegiem, zabijając każdego kto im w ręce popadł. Kilku z Batawji zbiegłych złoczyńców, przybyło tu przypadkiem, a ujrzawszy chatkę w cieniu drzew, i sądząc że bezwątpienia zamieszkaną jest przez rozbitków, którzy może zdołali ocalić część ładunku, udali się w to miejsce, grożąc mieszkańcom śmiercią, jeśliby nie oddali swoich skarbów. Biedni, nic nie mieli prócz podartych już nieco sukni zaledwie pokrywających ich nagość. Zgrzybiały Indjanin rzucił się do nóg dowódcy rabusiów, bła-

gając o litość dla swoich gości. Słowa starca nie były próżnemi; dowódzca rabusiów, którego nędza przymusiła do chwycenia się teraźniejszego rzemiosła, nie był zupełnie złym człowiekiem; wzruszony biednym stanem rozbitków, ofiarował się zabrać ich z sobą i wysadzić na najbliższy brzeg zamieszkany przez Europejczyków, gdzie bezwątpienia znajdą jaki hollenderski kupiecki okręt.

Europejczykowie z tkliwością pożegnali gościnnego Indjanina, i odpłynęli na statku korsarzy' którzy wysadzili ich w Japara, gdzie znaleźli okręt hollenderski, który ich zabrał do Batawji.

OBŁĄKANA.

(*Ballada.*)

Wieczór—zmierzchać się zaczyna,
Jeszcze zbiera ktoś kwiateczki,
Jeszcze nuci ktoś piosneczki,
Ach, to chłopiec i dziewczyna.

DZIEWCZYNA.

Przyłóż twarz do mojéj twarzy,
Połóż rękę na mém dłonie,
Ach! jak się tam miłość żarzy,
Jak się żarzy, ach! jak płonie.

CHŁOPIEC.

Połóż rękę moja miła,
Połóż rękę ma jedyna,
Kędy miłość się zaczyna,
Kędy wre jéj cała siła,
Patrz jak się tam coś odzywa;
Jest to miłość, czuła, tkliwa.
Daj mi ustek, a ja moje,
Ogniem uczuć zetknę z twemi,
I ustami wzajem temi,
W dusze prześlem czucia swoje.
Chłopiec w miłości zapale,
Schwycił rękę, czule ścisnął,
W oku ogień uczuć błysnął,
Jak blask słońca w wód kryształe.
Wzrokiem jéj spojrzenia chwytał,
Do ust usta zbliżył śmiele,
Pocałował i nie pytał;
Ej, ej, chłopcze, to za wiele.

Tak przez dni, wieczorków kilka,
Dziewcze z chłopcem zbiéra kwiaty,
Kto dziewcze?.... biedna Marylka,
Kto chłopiec? Jasio bogaty.

2.

Czemuś smutna? ej dziewczyno,
Łezka w oku, w twarzy bladość,
Nie płacz, troski twe przeminą
Większy smutek, większa radość.
Czyć kochanek cię porzucił,
Czy niepewność dręczy głucha,
Czy się Tatko twój zasmucił?
Pytam jéj — ona nie słucha.
Czy noc głucha cień roztoczy,
Czyli słońce w dzień dopieka,
Jéj zroszone łzami oczy,
Ona od ludzi ucieka.

Codzień kochanka wspomina
Płacze, westchnie razy kilka,
I cóż to jest za dziewczyna?
Wszak to uboga Marsylka.
Dwa miesiące już upływa,
Jaś odjechał, nie przybywa,

Ni przez przez listek nie zagada,
Ani wiedzieć da o sobie,
Dziewcze, biada tobie biada,
To w tém jakiś podstęp, zdrada.
Jasio w mieście—w mieście mnogo
Ładnych dziewcząt, pięknych twarzy,
Te Jasieczka podbić mogą,
On już może o nich marzy.
Często nim się kwiat rozwinie,
Już go chłodne warzą noce,
Ledwo słońce zamigoce,
Już za chmurą gęstą ginie.
Jasio chociaż jeszcze młody,
W oczach życie, w sercu siła,
Jednak liczne są przygody,
Może słabość go zwalczyła.
Może!.. wszystko to być może,
W szczęściu myśléj o medoli,
Wszak przy cierniach piękne róże,
Dziewcze, płaczesz?...

DZIEWCZYNA. (*z czułością*)
Serce boli!!

JA.
Nie płacz! i cóż cię tak smuci?
Dla ciebie życia poranek,
Jaś twój wróci, jak nie wróci,
Znajdzie się inny kochanek,

DZIEWCZYNA.

Chłopcze, radzisz! dobra rada,
Ale serce rad nie słucha;
Patrz, ta chmura jak noc blada,
Piorun błyska i wiatr dmucha.
Ty radź chłopcze, radź téj chmurze,
Niechaj słońca twarz odsłoni.
I cóż, milczysz? przemów do niéj;
Na głos tkliwy znikną burze.
Milczysz?.. milcz, wszak to marzeniem,
Głos twój chmury nie poruszy,
Tak też zimnych głosek brzmieniem,
Nie pocieszysz tkliwéj duszy.
Tak jest, twoje zimne mowy,
Zachowaj gdy chcesz dla siebie,
Lecz ja chłopcze żegnam ciebie,

JA.

Bywaj zdrowa.

DZIEWCZYNA.

Bywaj zdrowy.

Znikła, a jam jeszcze słuchał,
Puszcz grobowe zagrał pienie,

Wietrzyk słowa jéj rozdmuchał,
I powtórzył jéj westchnienie.
Jasiu! i cóż cię tam trzyma,
W mieście nie znasz tęsknot chwilki,
Przeszło lato, przeszła zima,
A nie wracasz do Marylki.
W mieście dziewcząt ładnych wiele,
W mieście raźni przyjaciele,
W mieście ciągłe żarty, śmiechy,
W miescie roskosz i uciechy.
W mieście nigdy nie znasz troski,
Chwilkę pędzi uciech chwilka,
Jednak Jasiu wróć do wioski,
Bo tam czeka cię Marylka.
Kiedy w nocy pies zaszczeka,
Lub coś tętni nakształt konia,
Dziewcze wyglądə na błonia.
Czy nie jedzie Jaś zdaleka.
W śród nadziei wstaje z ranka,
W pośród smutku dzień upływa,
Wieczór... i Jaś nie przybywa,
I znów dzień — nie ma kochanka.

3.

W lasku dwór jest murowany,
Szczyt jego w obłokach tonie,

A na dziedziéńcu rżą konie,
I karosze i kasztany.
W dworze gości bardzo wiele,
Wino w szklankach się rumieni,
Cóż to jest?.. ach to wesele.
To bogaty Jaś się żeni.
Przyszła jego... piękna młoda,
Twarz jak róża, jak jagoda,
W oczach szczęście choć łez kilka,
Przyszła jego, nie Marylka.
Przyszła jego jest bogata,
Posag wielki, złota wiele,
Dziadek, mama, ciocia, tata.
Zjechali się na wesele,
Wina dosyć, stołów kilka,
Z rąk do rąk przechodzą szklanki,
Jasio przy boku kochanki.
Jasiu, a gdzie jest Marsylka?
Skoczne tony grzmi kapela,
I dziewczęta i chłopaki,
Daléj, w taniec, jaki taki,
Daléj... wszak to dzień wesela.
Daléj! każdy pląsa skacze,
Smiechy, żarty, żarty, śmiechy,
Cóż za dziewczę w kącie płacze,
Łzy w jéj oczach, nie uciechy.

Twarz swą skryła w ręce obie,
Po palcach łez spływa kilka.
Jasiu przypomnij no sobie,
Czy to czasem nie Marylka?
Jest gaiczek, w tym gaiku,
Za jaworem przy strumyku,
Widać łączkę piękną, małą,
Na niéj kwitną złote kwiaty,
I różyczki i bławaty,
Wielu łączkę tą nazwało:
Łączką miłości,
Stałości.
Kiedy słońce już się skryje,
Swiat powlecze mgła wieczora,
Księżyc złotą twarz swą myje,
W kryształowych dnach jeziora.
Wtenczas, słychać tu głos tkliwy,
I miłośne słychać śpiéwy.
Tu Marylka chodzi sama,
Zrywa róże lub bławatek,
Darmo ją pociesza tatek,
Darmo pieści czuła mama;
Ona na pieszczoty głucha,
Ona i pociech nie słucha,
W oku ciągle łza boleści,
W ustach uśmiech albo jęki,

To się z kwiatem róży pieści,
To z blaskiem miłéj jutrzenki...
To nie znane mówi słowa,
To skacze, to kwiatki ściska,
W oku lub rozpacz grobowa,
Albo ogień uczuć błyska.
Sama w wieczór, sama z rana,
Jéj skargi ptak leśny głuszy,
Ten kto nie zna uczuć duszy,
Mówi że to obłąkana....

Józef Łopaciński.

ZARAZA

W MARSYLJI.

(1720.)

Od trzech miesięcy, miasto było kupą trupów; domy opuszczone przez mieszkańców, nie miały drzwi i okien, jakby tamtędy przeszła stopa pożaru.

W porcie, wpośród ciepłéj wody, drzémały okręty bez osady; ich maszty bez żagli, bandery zwinięte, i pianą zgniłe pokłady, rzucały jednostajne linje na brzegi i tamy, a tamy i brzegi były pustynią.

Wsie puste, drogi posiane kośćmi pokrytemi splugawiowym ubiorem, gnijących pożeranych przez robaki trupów.

Zostać w mieście, było to umrzéć; wyjść z niego, było to także umrzéć; bo kule kordonu zdrowia, rozstawionego o kilka staj odległości, do około miasta, bez litości dosięgały każdego, kto chciał wyjść z tego okręgu śmierci.

— Dla czegoż to?

Pewnego dnia, kiedy miasto nie myślało wcale o tém, istniejąc w pośród zbytku swego handlu zamiennego, z Lewantem, Sant Domingo i Indjami;

Pewnego dnia, kiedy oddychało wonnościami wschodu, jak odaliska wychodząca s kąpieli;

Kiedy na przedmieściach i wioskach, razem sparą łąki, wznosiły się odgłosy tamburynów i wesołe okrzyki radości;

Kiedy na bulwarach snuło się mnóstwo mieszczan w axamitnych ubiorach, rybaków w czer-

wonych czapkach i czarno-włosych piękności w oknach;

Tego dnia, okręt jeden zawinął do portu.— Przybywał on z Seid w Syrji.

Wiózł ładunek bawełny z Alepu, skóry z wierząt i suszone owoce. Na pokładzie jego znajdował się podróżny....

Ten podróżny, to była zaraza.

Zrazu, kilku umarło w milczeniu; obwiniano zbyt mocne gorąca i złośliwą febrę.

W wielu domach okazali się chorzy i umarli. Spoglądano na siebie, blednąc.

Jeden okręg został dotknięty zarazą; wywieszono czarną chorągiew w każdém oknie; nakreślono czerwony krzyż na każdych drzwiach, i otoczono ten okręg strażą.

Daremna ostrożność! złe nie tam było, ono było wszędzie.

Wśród drogi dotknie cię, oczy twoje nabrzmiewają, kolana chwieją się, ogień okropny pożera cię, płoniesz. Siądź pod tą kolumną, otwórz usta, odetchnij.

Daléj na mary, już nie żyje.

A teraz inni. Poczciwy starzec, którego wczoraj jeszcze wieńczono i obdarzano pochwa-

łami i złotém; którego pieśni rozweselały biesiadników wczorajszéj uczty;

Tkliwa matka mająca trzy córki;

Młody człowiek, z nadzieją w sercu, poezją w głowie, miłością w sercu i w głowie;

Dalej na mary!

Spieszcie się pogrześć ich, bo już godzina jak umarli; trupy rozszerzają zarazę.

Ha! jeżli nie ma miejsca na smętarzu niech ich wrzucą w doły z wapnem, jeśli i te się przepełnią, w fossę portową, w niedostatku, na ulicę.

Smętarz, doły, fossa, wszystko już przepełnione; nie ma nigdzie miejsca, umierają i zostają na ulicach.

Już tak zginęło czterdzieści tysięcy, i leży z otwartemi ustami, z żółtemi zębami i ściśnionemi pięściami.

Rospacz doszła do tego stopnia, że już nie liczono na pomoc nieba; niebo nie zsyłało wiatru ani deszczu. Noce były gorące.

Pewnego dnia, niebo pokryte było pasami krwawemi i sinemi; czarne chorągwie płakały we wszystkich oknach, i kościoły były otwarte, ale obraz zbawiciela był zasłonięty. lampa przed sakramentem zgasła.

Z kośoioła S. Łukasza wychodzą widma zaledwie wlekące się; garstka dotkniętych zarazą, ubrała się w suknie od uroczystości, niosą długie białe świece, chorągwie i obrazy, srebrne kadzielnice i krzyże.

Czy to wielkanoc, czy zielone świątki?

To uroczystość serca Jezusa Chrystusa, to jest ostatnia processja, tych któży mają umrzéć, to trupy idą za pogrzebem.

Bóg z niemi! Idą błagać Wszechmocnego po raz ostatni, idą błagać go na zwłokach swoich braci, na skieletach swoich przyjaciół i krewnych. A potém.....

Patrz na tego bladego człowieka; ze spokojném okiem, bez obuwia, przepasany pasem wytrwania i poddania się losowi, to duchowny, to biskup Belzunce.

Cały uroczysty pochód przeszedł wszystkie ulice miasta. Ostatnia jeszcze pozostaje powinność „Czekajcie mnie!" rzekł biskup.

I wstępuje na wieżę starożytnego kościoła skropionego nie raz krwią druidów, zaczernionego dymami poganizmu, a teraz ozdobionego na szczycie, krzyżem zbawiciela.

Biskup pokazuje się na żelaznym ganku, nie szemrał on ani na chwilę przeciwko niebu; on mówił: „Panie zmiłuj się nad nami!“

Przez kwadrans ręce jego wzniesione były ku niebu; był to Mojżesz, w dniu wielkiéj bitwy z pogaństwem.

„Panie zmiłuj się nad nami!“ wołają na dole głosy zaledwie zdolne wymówić te wyrazy.

Minęła noc. Zrana, zimny wiatr północny powionął wpośród pustych pomników, miota otwartemi drzwiami, odrywa okiennice; chwieje okrętami w porcie, chłodzi czoło chorego.

Bóg zlitował się; ten wiatr północny, to—życie!

Zaraza znika przed świeżym powiewem, i znika na zawsze.

Gdybyście widzieli to miasto, po trzech miesiącach odżywające odradzające się, płakalibyście, i uśmiechali się; było ono jeszcze blade, ale życie było w jego oczach. W porcie cokolwiek ruchu, w mieście nie tańczono jeszcze, ale umawiano się, względem wspólnéj biesiady przy końcu żniwa.

To szczęście, byłoż dziełem pocieszyciela, filozofa, czy lekarza, który równie, musiał uledz

zarazie? któż to miasto wrócił do życia, wskrzesił? BÓG! przez czystą wiarę swego kapłana.

Leon Gozlan.

MIŁOŚĆ I POWINNOŚĆ.

BAL.

Otóż ona! otóż ona! Wołano ze wszystkich stron, zwracając się ku wchodzącéj damie. Była wysoka, biała, blondynka, była piękną. Któż to przybył?—spytała się ładna kobiéta głosem uszczypliwym. — Jest to piękna małżonka naszego pułkownika, odpowiedział Arthur, dla któréj, my oficerowie ten bal dajemy. — To ona! o mój Arturze, w twojém uniesieniu spostrzegam jakąś tajemnicę, a ty nie powinieneś mieć nic tajnego przed twoją żoną. Podczas gdy ubiegano się za kadrylami, walcami, i galopadą, podczas téj wrzawy, Artur de Neuville z młodą swą małżonką, stanęli w kącie salonu i przy-

patrywali się; ona słuchała opowiadającego męża z wielką uwagą. Około drugiéj po północy, królowa balu, pułkownikowa Cery, blada, strudzona, już chciała się oddalić, gdy Artur przedstawił jéj swoją małżonkę i po kilku słowach poznały się te dwie damy; miłém dla nich było przypomnienie, że w młodych bardzo latach, razem na jednéj zostawały pensji, pożegnały się ucieszone tą myślą, że tak miłą przyjaźń odnowiły.

BUDOAR.

W pięknym lecz cichym pokoiku, oświeconym tylko alabastrową lampą, znajdowali się Artur i Karolina, kiedy nagle pułkownikowa de Cery odwiedziła ich. Razem usiedli przed kominkiem, rozmowa ich była żywą, z taką szczerotą i wdziękiem, że przyjaźń prawdziwą w niéj się malowała Pan znałeś, rzekła Natalja do Artura, moje postanowienie. Chciałam żyć samotnie odosobniona od świata, lecz obawa matki, że po jéj śmierci zostanę sierotą, zmusiła mię poddać się losowi, i przyjąć za małżonka pułkownika de Cery. Matkę straciłam—mąż mój wezwany został do pułku, ja opuścić musiałam moje rodzin-

ne miejsca, pospieszyć za mężem, i tylko urodzenie córki pocieszyło mię cokolwiek.

To wszystko wyrzekła z tonem tak spokojnym i stałym, że można było w niéj poznać duszę wielką, lecz nieszczęśliwą, wyrzucała Arturowi, że oddalił się tak nagle od rodziców swoich, bez pożegnaniania jéj i przytém znaczące spojrzenie z przyjemnym uśmiechem rzucając na Karolinę; szepnęła jéj do ucha — »On zawsze mówił mi tylko o pięknéj swojéj narzeczonéj, a nie wiedział że ją dawniéj jeszcze znałam.—Artur nie mógł wyrazić swéj radości gdy się dowiedział, że pułk Pana de Cery pozostanie w Tours, i że przez to, Natalja mieć będzie sposobność, odwiedzać często swoich przyjaciół. Wtém wszedł pułkownik i nie długo się pożegnali. Gdy Artur i Karolina pozostali sami, ze łzami w oku spojrzeli na siebie, poznali że Natalja ma tajemne cierpienia i że zniszczeje i uschnie jak liść który gąsienica nadpsuje.

PRZEGLĄD WOJSKA.

Dzień był piękny i cała okolica miasta Tours była napełnioną ludem; z wszystkich stron zbiegano się, bo wielkie obroty wojenne miały się odbyć, przed Jeneralem dywizyi. Natalja i

Karolina miały być tam obecnemi, a Artur, i przy pułku i przy damach był czynnym. Nagle dał się słyszéć okrzyk przerażenia i widziano jak koń rozbiegł się i wlókł za sobą ofiarę swoją—był to pułkownik de Cery; przejeżdzał szeregi, koń jego uderzony w piersi przez nieostrożność żołnierza, rozbiegł się i prosto pędził do Loary, Lecz w téj chwili kiedy już wskoczyć miał w rzekę, Oficer przyskoczył, przeciął strzemie i uratował pułkownika. Postać oficera tego była wysoka, szczupła, a oczy czarne jak heban, włosów miał mało, a czoło jego, dało poznać jeszcze wprawdzie młodego, lecz nieszczęściami zestarzałego człowieka. Po kilku chwilach Artur wrócił z upewnieniem, że już nie ma niebezpieczeństwa, a pułkownikowa, widząc już ocalonego męża, zdawała się na nowo być spokojną, kiedy nagle; spostrzegła wybawcę, i z przeraźliwym krzykiem «Ferdynand« padła omdlona.

ODWIEDZINY.

W kilka dni po tém zdarzeniu, Natalja siedziała sama w swoim pokoju i była zajętą haftowaniem pięknéj poduszki. Często spoglądała w niebo, lub też okrywała pieszczotami swą córkę, aby ukryć łzy swoje. Pułkownik wszedł, trzymał za

rękę Ferdynanda i te słowa wymówił: Nataljo, przyprowadzam ci młodego dzikiego człowieka, który chciał dziś odjechać, nie pożegnawszy się z tobą. Wtém odwołano pułkownika i Natalja została sama z Ferdynandem; po chwili milczenia, oczy ich się spotkały, chociaż unikali tego i Ferdynand z drzeniem zaczął mówić: Widzisz Pani skutki niepohamowanéj miłości, twoja udana spokojność, zatruwa twoje i moje życie, przypadek chciał, że zostałem pomieszczony w pułku męża pani, którego kocham i szanuję. Lecz uczucia moje przeszkadzają powinności, czuję że nie zniósłbym widoku pani, bez rozpaczy, dla tego prosiłem o przeniesienie mnie do innego pułku, dziś właśnie je otrzymałem a jutro odjeżdżam. Nataljo! niech w twojéj pamięci, teraz przyjaciel twój tylko żyje, to jest jedna i ostatnia prożba moja. Myśl, że czasem z czułością wspomnisz przyjaciela, może mnie tylko pocieszać, i cierpienia wiecznego oddalenia łagodzić. Wiecznego! powtórzyła Natalja, i wszelkiemi siłemi starała się wstrzymać łzy swoje. W téj chwili wszedł pułkownik, Karolina i Artur. Natalja usiłowała przybrać zwykły ton spokojności uśmiechała się nawet, lecz jakże było bolesném patrzeć na nią, bo kto ją kochał, poznał dobrze

ile cierpiała. Żegnam pana, z stałością i odwagą rzekła Natalja do Ferdynanda, mam nadzieję że się kiedyś zobaczemy. Nigdy nie zapomnę szlachetnego czynu, przez który uratowałeś życie mojemu mężowi; nabyłeś prawa do mojéj wdzięczności, dzieciom moim przekażę, aby imie pana błogosławiły. Ferdynand z mężną spokojnością pożegnał Natalją i odszedł z pułkownikiem. Gdy się oddalili, nie mogła już dłużéj wstrzymać łez swoich, i nie zważając na obecność przyjaciół oddała się żalowi. Młodzi małżonkowie pocieszali ją, poznawszy całą okropność jéj nieszczęśliwéj miłości i powinności.

ODWIEDZINY.

Nazajutrz, państwo de Neuville odwiedzili znów Natalją. Była więcéj cierpiącą niż kiedykolwiek i jéj piękność miała coś podobnego do grobowéj białości.

Kochani przyjaciele, żalujcie mnie! przywitała ich temi słowami, ujmując ich ręce wswe dłonie.—Prawda, jestem nieszczęśliwa, bardzo nieszczęśliwa, ale on dziś wieczór odjeżdza—on go-

dzień większéj litości, bo nieszczęście go zabije on upadnie, udając poddanie się losowi. — Arturze, odwiedź pana Ferdynanda, i nie odstępuj go do ostatniéj chwili jego odjazdu. Ja go już nigdy nie zobaczę, zakazuję mu widzenia się kiedykolwiek jeszcze ze mną, lecz powiedz mu, że go kiedyś, jak moja ręka była jeszcze wolną, kochałam nad wszystko w świecie, a teraz czczę w nim wybawcę męża mojego, i przyjaciela; tak powinność nakazuje, on mnie zrozumie i dla tego jestem pewną jego szacunku. Oddaj mu ten krzyżyk, nosiłam go od młodości na moich piersiach, niech on wpatrując się w niego pomyśli że musieliśmy uledz naszemu przeznaczeniu. Wszak nie popełniłam występku?... Ach on tak jest nieszczęśliwy. Niebo nie może mnie karać za ten dar, który mu posyłam, prosząc go aby z niego czerpał pociechę. Czuję że nie długo będę sama błagala u stóp Stwórcy przebaczenia za wszystkie moje przewinienia, memu mężowi podziękuję za jego dobroć i umrę żałując że jego szczęście zatrułam, lecz ja nie mogłam przezwyciężyć mojéj namiętności, i przez to nigdy nie byłam szczęśliwą! Moją córkę zostawiam wam wszystkim, a szczególniéj tobie

kochana Karolino. Niech będzie tak dobrą jak ty jestes. Niech zawsze wypełnia swoją powinność, bo to przekonanie, pociesza i w ostatniéj chwili. Lecz czas nagli. Ferdynand dziś jeszcze odjeżdża. Idź Arturze, zanieś mu ostatnie pożegnanie przyjaciołki, a przyrzecz mi że gdy wrócisz nigdy już nie wspomnisz o nim przedemną.

OBERŻA.

Każdy wie jak wesoło bawią się wojskowi, gdy razem przy jednym zasiędą stole, żarty przy uczcie równie są żywe i raźne w oberży, jak szpada ich w czasie bitwy. Przy stole przy którym siedzieli oficerowie pułku Pana de Cery, lekarz bataljonowy, najwięcéj odznaczał się wesołością, wracał właśnie z Algieru, i szczegółowo opowiadał wypadki ostatniéj potyczki, z taką szczerością, jak gdyby się dopiero przy niéj znajdował.

I cóż nasz kochany Ferdynand porabia, czy zawsze tak melancholiczny, choć nudy z Beduinami i ich kobiétami, spytał się jeden z oficerów. Wesoła twarz doktora przybrała nagle wyraz smutku. Pierwsza kula, jego trafiła, odpowiedział—prawdę mówiąc, zdawało się, że sam

śmierci szukał, gdyż wpadł jak szalony w szeregi nieprzyjacioł, koń jego padł także, a że właśnie wojska ustąpiły, mogłem się więc nim zająć, podniosłem go i oparłem o siodło. Obróć mnie pan w stronę Francji — wyrzekł słabym głosem, a teraz odepnij mi surdut, wyjmij miniaturę, którą mam na piersiach, i przysięgnij mi że! prosił. — i ostrzaskałem ją ostrzem pałasza. Dziękuję ci, a teraz odwiąż krzyżyk który wisi na tym samym sznurku. Odwiązałem i podałem mu, pochwycił z wyraźnem natężeniem radości, pocałował po kilka razy, obłał łzami i mówił z oczami już na wpół umarłemi: przyrzeknij mi, że pochowasz mnie z tym krzyżykiem, połóż go na tę rozdartą pierś, wypełnij proźbę ostatnią konającego! — przysiągłem, a on złożył ręce, jakby do modlitwy, trzymając ciągle krzyżyk—i niezadługo—usnął — lecz na wieki.

Wypełniłem moje przyrzeczenie. — Widzicie Panowie, mówił daléj doktor, a po ogorzałéj twarzy, dwie krople łez spływały—widzicie jak mnie to wspomnienie wzrusza, choć powiniennem być przyzwyczajonym już do śmierci; dziś właśnie jest 20 dni, jak Ferdynand na moich rękach skonał. Zawsze on był smętny i ponury,

lecz w duszy poczciwy chłopiec, dobry żołnierz. Wieczny pokój jego popiołom!

Obecni wszyscy jeszcze byli wzruszeni opowiadaniem doktora, kiedy oficer obcy wszedł: Panowie—mówił—mam polecenie donieść wam o smutnym przypadku. Żona naszego Pułkownika umarła; pojutrze o dziésiątéj, będzie jéj pogrzeb.

NA ŚMIERĆ DZIEWICY.

(*Z Chateaubrianda.*)

Zstępuje trumna, i te piękne róże,
Zatknięte ręką ojca, boleści dowody;
Ziemio, tyś je nosiła, dziś przyjmij w twe łoże,
Młodą dziewicę i kwiat róży młody,

Nie wróć ich nigdy na ten świat wszeteczny,
Siedlisko nędzy, smutku, i zmiennéj przygody.
Zimny wiatr szronem zmrozi, spali żar słoneczny,
Młodą dziewicę, i kwiat róży młody.

* * *

Spisz tu, o piękna! ledwie w wiosnie życia,
Już cię nie trwożą serca burze, niepogody,
Bo już nie wrócą nigdy z cichego ukrycia,
Młoda dziewica, i kwiat róży młody.

* * *

Twój ojciec łzami popioły twe zrosił,
Bladość pokryła zwiędłe boleścią jagody,
Bo czas pod cieniem dębu, zimną dłonią skosił,
Młodą dziewicę, i kwiat róży młody.

* * *

WILJA

BOŻEGO NARODZENIA.

— „Ach kochana matko, ja sama tego nie pojmuję, ale obawiam się; dziś wilja Bożego narodzenia, sklep będzie niezawodnie pełny, i wątpię czy damy przełożone nad wyborem towarów zechcą przyjąć te drobiazgi,“ Tak mówiła Ludwika Seelen, do zmartwionéj matki, która smutnie siedziała trzymając na kolanach małego chłopczyka, któregobladei zapadłe lica, okazywały szkodliwy wpływ słabości i niedostatku.

— A jednak, mówiła daléj Ludwika, jak sobie pomyślę, że biedna nasza Karolina tak była zawsze chwaloną za swoje piękne roboty.

Matka weschnęła boleśnie i zwróciła przepełnione łzami oczy, w kąt nędznéj stancyjki, gdzie jéj najstarsza córka niegdyś tak hoża i wesoła

Karolina, w gorączce leżała na biédném posłaniu. Ludwika ujrzała łzy matki.

— Kochana matko, wszak się nie boisz żeby Karolinie pogorszyło się? — zapytała; niebezpieczeństwo przeszło niezawodnie. Spała spokojnie blisko przez trzy godzin, mówią że to dobry znak w gorączce.

Matka znowu spojrzała na cierpiącą Karolinę i rzekła z wyrazem najgłębszego smutku:—Niechcę cię zasmucać niepotrzebnie, moje dziecię; istotnie, sądzę że gorączka zmniéjszyła się, ale śmierć waszego ojca przygnietła zbytnie duszę Karoliny—a inna jeszcze boleść cięży na jéj biedném kochającém sercu. Czyś nie słyszała jak w malignie powtarzała z boleścią imie swego narzeczonego, jak gdyby zdawało jéj się, że go widzi ginącego w wałach morskich. Milczenie Edwarda przez rok prawie cały, uciskało serce Karoliny, jeszcze przed jéj słabością, teraz lękam się aby—łzy stłumiły głos matki, nie mogła dokończyć.

Usiłowała jednak ile możności nabrać otuchy.

— Nie powinnyśmy jednak tracić nadziei dobra Ludwiko, rzekła po krótkiéj przerwie, bo gdzie życie tam i nadzieja. Ty bez szemrania zniosłaś stratę naszego majątku i przyjaciół, kocha-

ne moje dziecię,—tyś była aniołem pocieszycielem, przy łożu twego umierającego ojca, tyś odprowadziła do grobu jego popioły.—Tyś prowadziła nasze małe gospodarstwo, i cierpliwie znosiłaś wszystkie przykrości. To wszystko czyniłaś droga córko moja i jeszcze będziesz musiała czynić, dla mnie i dla twojéj biédnéj siostry.

— Tak kochana matko, tak! zawołała Ludwika z mocném postanowieniem, ściskając matkę w czułém objęciu; idę, biegnę do magazynu.

— To jest ostatnie źródło pomocy dla nas, Ludwiko, bo szczupłe nasze pieniężne zapasy, już są bliskiemi wyczerpania. Idź przeto, idź dziecię moje! — Nie ganię twéj lękliwości, pierwszy to raz masz ponieść na przedaż te drobne roboty. Pojmuję dokładnie co czujesz, ale ten, który ci dał siłę do zniesienia tylu już cierpień, będzie cię i nadal wspierał.

— Idę już, kochana mamo!

Otarła łzę z oka, włożyła skromny kapelusik na piękne złote włosy, zarzuciła salopę, wzięła koszyczek i wybiegła z biednéj izdebki, w któréj zostawiała to, co ją jeszcze uszczęśliwiało na téj ziemi.

Wkrótce doszła do magazynu, w którym przyjmowano i na przedaż wystawiano wszelkiego ro-

dzaju robotki kobiece, pod dozorem wielu dam znakomitych. Ludwika drżącą ręką zapukała do drzwi, i została zaprowadzoną do małego pokoiku w którym znajdowało się kilkanaście młodych dziewcząt, przybyłych w tym samym co Ludwika zamiarze. Ale one były wesołe i wśród śmiechu rozmawiały z sobą, czekając póki na którą kolej nie przyjdzie. Biedna Ludwika cofnęła się w kącik, a jéj poszarzana salopka i wypłowiały kapelusik, były przedmiotem przycinków innych dziewcząt. Ale Ludwika nie zważała na to, jéj myśl pospieszyła do jéj skromnéj izdebki, gdzie jéj ukochana rodzina, niedostatek i słabości znosiła; obraz drogiéj matki ożył w jéj duszy; widziała ją, jak uklękłszy, gorące modły zanosiła do Najwyższego o zdrowie dla swoich dzieci. I jéj nieboszczyk ojciec ukazał się jéj, jak anioł opiekuńczy czuwający w niebie nad temi których kochał za życia.

Jedna po drugiéj z obecnych dziewcząt były wołane, i nakoniec przyszła koléj na Ludwikę. Serce jéj żywiéj bić zaczęło, lica pobladły, ale zebrała wszystkie siły duszy, i umysł jéj uspakajał się coraz bardziéj, im więcéj przypominała

sobie, ważność wyroku na który czekała. W magazynie znajdowało się mnóstwo dam, które oceniały wartość robót.

— No, cóż nam przynosisz moje dziecko? zapytała wykwintnie ubrana dama, cokolwiek zimnym, dumnym tonem.

— Kilka drobiazków, odpowiedziała Ludwika tak cicho, że ledwie ją słychać można było.

— Pokażno. — Piękne, bardzo piękne, bardzo ładne!

Jedna z dam, uważała że koszyczki ślicznie są malowane, i podobne pochwały, zyskały wszystkie inne robótki, które Ludwika przyniosła. Nadzieje Ludwiki wzmagały się. Lecz niestety! owa dama, która najpierwéj jéj się zapytała co przynosi, rzekła znowu:

— Lepiéj byłoby moje dziecię, żebyś była wypracowała coś pożyteczniéjszego, naprzykład, czapeczki dla dzieci, albo coś podobnego. Magazyn już jest przepełniony przedmiotami zbytku, i postanowiłyśmy, nie przyjmować już podobnych rzeczy. Zajmij się czemś w innym rodzaju, i wtedy przyjdź znowu, moje dziecię.

Ludwika była temi wyrazami jakby piorunem rażoną, tak, iż jednego słowa wymówić nie mo-

gła. Rozpacz ogarnęła jéj serce, drząc, w milczeniu, zbierała swoje roboty i kładła je na powrót w koszyk, gotując się wyjść z magazynu. W téj chwili drzwi się otworzyły i weszły dwie damy. Blade lica Ludwiki i pełne łez oczy, zdało się, że wzbudziły uwagę jednéj z nich, i czule zapytała się odchodzącéj, czy jéj roboty nie zostały przyjęte.

— Zbłądziłam, rzekła Ludwika, nie wiedziałam że takich zbytkowych przedmiotów nie przyjmują tutaj. — Pierwszy raz dzisiaj przyniosłam moje roboty.

— Czy pozwolisz mi je obejrzéć? mówiła daléj taż sama pani, przyjaznym głosem.

Ludwika rozwinęła swoją paczkę, a starsza z dwóch dam z zapałem wynurzyła swoje podziwienie nad pięknością wszystkich robót.

Ta uprzejmość, do najwyższego stopnia rozczuliła i tak już wzruszoną Ludwikę; łzy strumieniem puściły się z jéj oczu.

— Te kwiaty malowała moja siostra, rzekła łkając, ale lękam się!...

— Czegóż lękasz się, drogie dziecię? zapytała się dama.

— Lękam się, że podobno nie będzie już ich malować?

— Czy słaba jest?

— Od dwóch miesięcy nie opuszcza łóżka, rzekła Ludwika; aby jéj w słabości potrzebnych wygód dostarczyć, przyszłam tutaj z temi robotami.

Dama wydobyła szybko sakiewkę, i już miała zamiar podać ją płaczącéj dziewczynie, lecz, — czyto jéj uczucie delikatności, czy też coś w spojrzeniu Ludwiki, powściągnęło ten jéj zamiar. Szybko położyła rękę na paczce Ludwiki i rzekła:

— Kupię te wszystkie piękne rzeczy moja miła. Nie powinna być daremną drcga którą odbyłaś dla twojéj słabéj siostry. Weź tę sakiewkę, — a gdy Ludwika wahała się, rzekła daléj:

— Jeśli w sakiewce téj więcéj jest nad wartość tych pięknych robót, to za resztę dasz mi jeszcze kiedy parę drobnostek w tym rodzaju.

Ludwika wzięła pełną sakiewkę, uchwyciła rękę szlachetnéj dobrodziéjki i z zapałem przycisnęła ją do ust swoich.

— Ach! zawołała płacząc ciągle, pani nie wiesz ile osób twój szlachetny czyn uszczęśliwia! Dobroć pani, od głodu obroni całą rodzinę. Będziemy się modlić za ciebie i twoich, a jak moja biedna siostra wyzdrowieje, będzie z najżyw-

szym zapałem pracować, aby się wywdzięczyć pani.

Biedna, pomięszana i wzruszona dziewczyna, nie mogła więcéj mówić i miała już wychodzić z magazynu, kiedy owa pani zatrzymała ją i wymogła na niéj przyrzeczenie, że za kilka dni znowu tam przyjdzie.

Ludwika pobiegła teraz jakby na skrzydłach, ku ciasnéj uliczce gdzie było jéj ubogie mieszkanie. W obu rękach trzymała sakiewkę, aby jéj nie zgubić. »To ją uratuje, to jéj wróci zdrowie,« powtarzała sobie najsłodszą ożywiona nadzieją. Ale któż opisze zadziwienie jéj, kiedy przybywszy przed drzwi mieszkania, usłyszała swego braciszka śmiejącego się wesoło; rozeznała także głos który nie był jéj obcym. Zdziwiona, otworzyła drzwi i cóż ujrzała? Jéj siostra Karolina, siedziała na swojém łóżku; blade jéj lica uśmiechały się, głowa jéj opartą była o piersi młodego przystojnego mężczyzny, którego rysy wyrażały razem smutek i radość. Matka spoglądała czule na dwoje kochanków; z oczu jéj uśmiechała się nowa nadzieja a mały chłopaczek bawił się z szpadą młodzieńca, który miał na sobie mundur marynarza. Ludwika po-

trzebowała jednego tylko spojrzenia, aby cały zbieg okoliczności zrozumiéć.

— Edward! Edward! zowołała, biegnąc do niego.

— Tak to ja, odpowie dział, serdeczne pocałowanie wyciskając na ustach siostry Karoliny. — Ach, dla czegóż musiałem moję Karolinę zobaczyć w takim stanie! Ale ona wyzdrowieje, i będzie szczęśliwą!

— Edwardzie, kochany mój synu, żeby ją tylko to wzruszenie na nowo nie osłabiło rzekła troskliwa matka.

— O nie, nie! przerwała Karolina słabym głosem; przeciwnie, przybycie jego zwraca mi życie!

Edward opowiedział teraz przyczynę długiego swego milczenia. Zachorował on na odległych brzegach, i przymuszonym był tam pozostać, kilka listów które pisał nie doszły widać do Europy.

Z kolei, Ludwika zdała sprawę z tego co jéj się wydarzyło, i cicha wewnętrzna radość zajęła skromne mieszkanie cnotliwéj rodziny, w którém dotychczas smutek ołowianém swém berem panoweł. Karolina wróciła do zdrowia, i ostała szczęśliwą z oną Edwarda, ale pierwéj

Jeszcze nim to się stało, zaszła ważna zmiana w położeniu Ludwiki. Podług przyrzeczenia które dała owéj dobroczynnéj damie, udała się za kilka dni do magazynu, gdzie znalazła swoję dobrodziéjkę, i opowiedziała jéj jak szczęśliwa zaszła zmiana w losie jéj rodziny. Sposób ujmujący, jakim Ludwika mówiła o swojéj matce i siostrze, tudzież inne piękne przymioty cnotliwéj dziewicy, zjednały jéj przywiązanie szlachetnéj damy, do tego stopnia, iż od téj chwili ogłosiła się jéj opiekunką, przysposobila ją za córkę i zostawiła jéj po swojéj śmierci znaczny majątek.

MŁODA SIEROTA.

(*Prawdziwe.*)

Biedny malarz, którego całym majątkiem był jego talent, a całą pociechą jedyna córka, zbliżał się już do kresu swego istnienia; praca więcéj niż wiek, zużyła jego życie, bo miał dopiero ko-

ło sześćdziesięciu lat.... a jednak nie było już nadziei; tylko córka jego nie wierzyła jeszcze temu, bo młodość zawsze ma nadzieję.

— Zbytnie pracujesz moja Zofjo, połóż robotę i pójdź mię uściskać.

— Oh! tak, mój ojcze, to jest dla mnie najmilszym odpoczynkiem! I młoda dziewczyna odstąpiła od stalug i zbliżyła się, aby uścisnąć starca, który ją długo zatrzymał w swoich objęciach. Oh! to było smutném i rozczulającém, widzieć tę młodą twarz, te lica tak różowe, pochylone nad zżółkłém i pomarszczoném boleścią, czołem cierpiącego starca; był to anioł, pocieszający niedolę.

— Biedna Zofjo!.. Oh! jak to okropnie zostawić cię samą!

— Mój ojcze! mój ojcze! nie mów tak.

— Drogie dziecię!... czuję się bardzo słabym.

— A ja czuję się dość silną, aby cię pielęgnować, i ponieważ Bóg jest tak dobry... On wie że ja cię potrzebuję,.. w nim mam nadzieję.

— Ja także moja córko, i ta nadzieja sił mi udziela. Wiem że stwórca jest miłosiernym. Mówiąc te słowa, starzec odwrócił oczy od ukochanéj córki i wzniósł je ku niebu.

Zofja miała nadzieję, że Bóg zachowa jéj ojca... to była myśl ziemska.

Starzec miał nadzieję, że mu Bóg odpuści jego winy... to była myśl niebieska.

— Przysuń tu do mnie twoje dzieło, moje dziecię. Już zdaje się daleko w niém postąpiłaś....

— Pracuję z zapałem. Pan Lang.... upewnił mię, że będę mogła przedać ten obraz jednemu z jego znajomych... A jak go przedam, wiem dobrze co uczynię z pieniędzmi.

— I ja wiem także.

— Któż ci powiedział, mój ojcze?

— Moje i twoje serce....Wiem że o jedném tylko myślisz.

— O czém?

— O twoim ojcu.., wiem że masz ochotę nająć ogródek w Saint-Aignan... Spodziewasz się, że oddychając świeżém powietrzem, prędzéj wrócę do zdrowia.

— Oh! zgadujesz myśl moję, ojcze!

— Ty po tysiąc razy na dzień zdradzasz się każdym postępkiem, każdém słowem.

— Tak, mój ojcze, wiesz wszystko.... znasz teraz jedyne, najżywsze moje uczucie: widzieć cię tyle zdrowym, żebyśmy mogli tam się przenieść! Kwiaty zaczynają rozwijać się, już jasminy i tuberozy napełniają powietrze balsamicznym oddechem; z tamtych wzgórzów będziemy mieli zachwycające widoki do kopjowania: oh! tak mój ojcze, tam oddychać będziesz czystém powietrzem wiosny.

— Wiosny! powtórzył starzec, smutnie potrząsnąwszy głową,... te zmiany pór roku są często niebezpieczne.

— Ach! mój ojcze, znowu wracasz do twoich smutnych myśli.

— Masz słuszność kochana Zofjo; błądzę zrzekając się nadziei. Tak, pójdziemy razem do tego ogródka... Ale, zobaczmy twój obraz.... Przysuń go do mnie... Cokolwiek na prawo; o tak, dobrze, bardzo dobrze... To niebo jest zachwycające, zdaje się być ogrzaném jeszcze ciepłem dnia, który się już zbliża do schyłku; te konające promienie światła, pięknie łączą się z cieniami wieczoru. Szkarłat obłoków, dobrze odbija się w zwierciedle wód, a ten kamienny krzyż na rozdróżu, uroczyście rysuje się na tle purpury

i złota. Postać téj klęczącéj dziewicy pełna jest wdzięku.... jak ona gorąco się modli!

— Ach! bo ona modli się za ojca!

— Słuchaj moje dziecię, będziesz mię znowu strofować; ale przyszła mi myśl.. porównanie poetyczne i malarskie, muszę ci je objawić... W twoim obrazie, słońce zachodzące maluje różowém swiatłem drzewa, niebo i wodę, i upiękknia tym sposobem wieczór pięknego dnia...Ty, jesteś mojém słońcem, ty zdobisz różami pociechy wieczór mego życia... Bez ciebie ah! jakże czarne i gęste byłyby jego cienie...

Widziemy że słaby napróżno odpędzał myśli o smierci, bo one ciągle wracały....—Bo też był bardzo blizkim trumny... i w trzy dni po scenie którą opisaliśmy, nieszczęśliwa Zofja, była samą... samą w tém mieszkaniu, gdzie wszystko przypominało jéj drogiego ojca.

Ściany pokoju były zawieszone obrazami jego pędzla; stalugi na których pracował stały obok drugich, na których oparty był niedokończony obraz zachodu słońca... Biedna dziewczyna widziała z najżywszą wdzięcznością przyjaciół jéj ojca, idących za jego skromnym pogrzebem, było to pociechą dla jéj zbolałego serca;

z łatwością kochamy tych, którzy wraz z nami płaczą nad drogim nam przedmiotem.

Kiedy śmierć dotknie jaką rodzinę, kiedy córka postrada ojca, nieszczęście powinno na tém poprzestać, i inne smutki nie powinny spadać na serce już skruszone... Tak my myślemy, ale Bóg ma inne drogi. Zofja widziała jak niknął jéj ojciec, nauczyła się przy nim cierpiéć, ale niewiedziała że nędza przyłączyłaby się do jego słabości, gdyby przyjazne ręce nie zakrywały nawet jéj pozoru.

Biedny artysta, nieraz odważał się mówić córce o śmierci, którą czuł zbliżającą się, nie raz rzekł jéj: — „Czuję że kres mego życia nie daleki...“ Ale nigdy nie miał tyle odwagi, żeby jéj powiedziéć, że nie tylko śmierć stoi u drzwi jego, że obok niéj jest nędzna. Ci tylko którzy głękoko zajrzeli w życie, wiedzą, że nieszczęście rzadko przychodzi pojedynczo.

Miesiąc jeszcze nie upłynął, jak Zofja zatknęła czarny drewniany krzyż na grobie swego ojca, kiedy urzędnicy sądowi, przyszli objawić jéj, całe jéj okropne położenie... Ten którego płakała w każdéj chwili, którego pamięć tak czciła, umarł nie zapłaciwszy niektórych długów.

Wszystkie sprzęty, wszystkie te obrazy, które jej były tak drogiemi, wszystko to, miało być przedaném. Woźni, jak ptaki żałobne, które zbiegają się do umarłego, przychodzili kilkanaście razy... Napróżno biedna Zofja powtarzała im: — „Zaplacę wszystko co mój ojciec był winien; nikt nie będzie miał powodu powiedzieć, że mój ojciec niedotrzymał mu przyrzeczenia.“ Woźni wzruszyli ramionami, spisali inwentarz i naznaczyli dzień przedaży.

Zbytek nieszczęścia natchnął stałością biedną dziewczynę. Zgromadziła najzaciętszych dłużników i rzekła im:

— Na imie Boga, nie przedawajcie téj szczupłéj dziedziny tego którego opłakuję; żaden z was nie straci nic z swéj należytości: zaplacę wszystko.

— A czém? zapytało kilku tych, którzy znali jéj niedostek.

— Zarobkiem mojéj pracy.

— Cożprzedsięwezmiesz?

— Pracować będę w dzień i w nocy, będę dawała lekcje.

— Jesteś za młoda.

— Tém więcéj będę mieć odwagi.

— Jesteś zbyt słabą.

— Córka, która pracuje dla uczczenia pamięci swego ojca jest zawsze dość silną.

— I jakże zapytało się kilku dłużników, przystaniemyż na to?

— Przystaniemy! zawołali prawie wszyscy.

— Niech wam Bóg błogosławieństwem swojém wynagrodzi, zawołała Zofja... Oh! jak będę pracować! zapłacę wam wszystkim. Czuję się bardzo silną!... A zostawszy samą, z tą lekkością, jaka nam zawsze jest właściwą, kiedy zanosimy komu dobrą nowinę, pobiegła do jednego z przyjaciół ojca, człowieka, którego szlachetność i bezinteressowność wyrównywała jego jenjuszowi i talentom, i w swojéj żałobnéj sukni i długiéj czarnéj zasłonie, zarumieniona wzruszeniem i prędkim biegiem, opowiedziała mu to, co zaszło między nią i dłużnikami jéj ojca, odkryła mu, że w nim pokładała nadzieję dopięcia swego celu. Potrzebowała jego nauki, aby być w stanie udzielać jéj innym. — „Będę dawała lekcje, powtarzała z uniesieniem, i tym sposobem zapłacę długi mego ojca.

Do łez wzruszony szlachetném postanowieniem młodéj sieroty, nasz sławny malarz z całym zapałem poświęcił się kształceniu jéj pięknego talentu. Pomiędzy uczniami jego, nikt tyle go

nie obchodził ile młoda córka malarza. Używał wszelkich starań, aby przyspieszyć szybkie postępy jéj nauki, odkrywał jéj tajemnice swéj sztuki, prowadził jéj rękę z uczuciem ojcowskiém i z radością widział, jak jego usiłowania piękne przynoszą owoce.

Kilku innych przyjaciół ojca Zofji, dopomagało jéj także rozsądnemi i światłemi radami, i wkrótce znalazła mnóstwo uczennic, i marzyła o celu swoich wszystkich życzeń, pracy, i nocy bezsennych, — to jest o zapłaceniu długów ojca.

Biedne dziecię! dusza jéj miała więcéj siły jak jéj ciało. Ona tylko nie dostrzegała, że takie ciągłe prace, niszczyły słabą jéj istność. Lica zachowały rumieńce młodości i zdrowia, ale dla bystrego oka dostrzeg cza, te rumieńce były hasłem okropnéj słabości. Zofja wpadła w suchoty. Czuwanie i łzy rozpaliły jéj krew...Wzruszenie, które obudza zwykle szlachetne postanowienie, zamieniło się zwolna w gorączkę ciągłą, która niszczyła ją, nie sprawiając cierpień tyle silnych, aby je mogła dostrzecz.

Ale chociaż ona nie poznała swego stanu, przyjaźń była jasnowidzącą i drżała o nią... Jedna z tych istot, które Bóg umieścił na ziem

więcéj dla dobra innych. jak dla nich samych, kobiéta równie dobra jak godna kochania, która wpośród wielu przykrości, pocieszała się wielu dobrodziéjstwami, które wyświadczała, widziała Zofję i przerażały ją gwałtowne postępy jéj słabości. Często mawiała do niéj:

— Moje dziecię, ty cierpisz.

— Ja, cierpiéć, ah! nie mam czasu myśléć nawet o tém.

— Trzeba żebyś udała się ze mną na wieś oddychać świeżém powietrzem i odpocząć.

— A moje uczennice?

— A twoje zdrowie?

— A długi mego ojca?

— Ależ ty się zabijasz.

— Ach! to by mię zabiło, gdybym pozwoliła aby zarzut ciężył pamięci mojego ojca.

Te rozmowy, te powtarzane prośby z jednéj strony o wyjazd na wieś, a z drugiéj o pozwolenie pozostania przy pracy, często wracały, ale zawsze Zofia przemogła. Dziewica ośmnastoletnia jest bardzo silną, kiedy ją święta myśl ożywia. Jest to trzcina godna dęba. Ale jest jeszcze coś także silnego, którego nic nie zdoła wstrzymać ani zwyciężyć; jest to wiatr śmierci, kiedy zadmie

morderczym oddechem. Zofja była nim dotknięta, i ten kwiat, dawniéj tak świeży i piękny, codzień więcéj pochylał się ku ziemi.

Trzej artyści, przyjaciele jéj ojca, przyszli, raz do niéj, i rzekli: — „Trzeba żebyś przyjęła ofiarę twojéj przyjaciołki, trzeba żebyś pojechała na wieś.

— A moje uczennice?

— Trzeba je opuścić na kilka tygodni.

— A długi mego ojca?

— Będą zapłacone.

— Tak, gdybyście byli bogatemi, ale nie jesteście niemi...

— Zastąpiemy cię w twoich lekcjach.

— Żartujecie ze mnie.

— Nie, podzielemy je między siebie, i dopełniemy szlachetnego celu który sobie zamierzyłaś.

Młoda dziewica powstała, chciała mówić, ale zdołała tylko wyciągnąć białe i szczupłe ręce do tak szlachetnych przyjaciół, i łzy obfite zwilżyły jéj powieki. Jakież wyrazy mogłaby znaleść aby wyrazić swoje dziękczynienia.

Zofja wyjechała na wieś z przyjaciolką, która stała się dla niéj drugą matkę... Tam, pod

cieniem gęstych szpalerów, powtarzała często swojéj dobrodziejce: Oh! jakże mylą się ci którzy mówiąc o świecie, utrzymują że dobroć i przyjaźń są rzadkiemi! Ja tak biedna, a tyle mam przyjaciół.

Oh! niech Bóg sowicie wynagrodzi tym którzy przykładają się do osłodzenia ostatnich dni umierającego! Pomiędzy dobremi uczynkami, nie ma świętszego nad ten... Nie obawiając się pod względem jedynego celu, biedna Zofja, marząc o szczęściu, codzień zbliżała się ku ziemi... Kwiaty wiosny wychodziły z ziemi, wtedy gdy ojciec Zofji został w niéj złożony, a kiedy jesień najbliższa po téj wiośnie, posypała pierwszemi suchemi liśćmi murawę na smętarzu, obok mogiły malarza, ujrzano drugą, świeżą... Była to mogiła Zofji.

Pokój duszy młodéj sieroty, i błogosławiestwo tym którzy szlachetnie słodzili jéj ostatnie chwile.

IMIENIA,

ZA JAKĄ BĄDŹ CENĘ.

Swiat podobien jest do wielkich tabliczek, na których każdyby chciał swoje imie umieścić.

Fontenelle

I.

GMINA.

Gościnność, tak jest piękną rzeczą, że nie masz na nią ceny.

A. Herpin.

Będzie temu lat około szesnastu, gdy młody jeden Anglik, Lord Wolsey, przybył pewnego wieczora w lecie, do małego miasteczka Łagny. Na zakręcie od mostu na Marnie, pękł ressor u pojazdu, i potrzeba było przynajmniéj całéj nocy do jego narządzenia. Lord Artur, któremu ten przypadek, oprócz lekkiego stłuczenia, żadnéj

szkody nie zrządził, zatrzymał się w najlepszéj jaka była oberży, i polecił służącemu, żeby dopilnował wieczerzy; ponieważ zaś dość jeszcze było widno, postanowił zwiedzić pamiętne z dawnych wojen okolice, chociaż one obecnie nie przedstawiały już ani szańców, ani innych miejsc obronnych. Artur wyszedł tedy za miasteczko i udał się drożyną prowadzącą pomiędzy uprawionemi polami. Tu rozwinęły się przed jego oczami niezmierzone przestrzenie wegetacji, rozciągającéj się w różnobarwnéj zieloności, po wzgórkach i dolinach. Scieżka rozdzielała się na dwie strony, jedna szła w niziny napiętrzone winnicami, druga zaś przerzynała się przez zarośla leszczyny i osiczyny, ku wiosce Jossygni. Młody lord udał się tą ostatnią, i po godzinnéj przechadzce ujrzał się przed kościołem Bussy Saint-Martin. Gdy tak przypatrywał się z uwagą poważnéj budowie kościoła, naokoło którego rozsiane widział nędzne lepianki słomą kryte, nieznacznie czarna i ciężka chmura rozpostarła swoje skrzydła nad wioską; ostatnie promienie słońca skryły się, i duże krople deszczu zaczęły padać. Artur zapomniawszy wziąść z sobą płaszcza, widział się przymuszonym szukać schronienia. Drzwi domu Bożego były zamknięte, wszedł więc do

najbliższéj chatki, i ta właśnie wydawała mu się najpozorniéjszą, Jeżeli nie został tam przyjęty z tą gościnnością uprzejmą, jaką przypisują nasi romansiści wieśniakom, nie bardzo jak każdemu wiadomo, gościnnym, osobliwie tym, którzy mieszkają w ośmio-milowym obrębie od stolicy, to przynajmniéj miał przyjemność zobaczyć ojca familji zajętego nauczaniem dzieci.

Nasz podróżny wszedł do mędrca okolicy, to jest do nauczyciela szkółki parafjalnéj, a raczej do Magistra, jak to wskazywała tablica Pitagoresa i liczne wzory alfabetów, na ścianie porozwieszane, na których pod spodem był napis: Chevance, *magister, fecit*. Widząc ławki i stoły zastawione w nizkiéj izbie pana magistra, zdawało się Arturowi, że wszedł do szynkowni, a wyszukawszy w pełnym złota woreczku srebrnéj monety, rzucił onę na stół i zażądał wina.

— Wina! rzecze magister Chevance, kłaniając się z powagą obcemu; pan się omyliłeś, ja jestem nauczycielem, ale nie szynkarzem.... chciéj pan pójść daléj do trzeciego domu.

— Przepraszam, odpowie młody lord, i już sięgał po swój pieniądz, gdy pani Magistrowa, któréj sztuka pięcio-frankowa przyjemnie zabłysnęła, powstała z ławki, i odpychając męża na bok

zawołała: I cóż to ma do tego, czy jesteś lub nie magistrem, kiedy jegomość chce się u nas napić, możemy mu przedać butelkę wina, tak dobrze jak kum Péchu, a jeżeli nie będzie lepsze, to pewnie nie gorsze, oprócz tego, jegomość niezdaje się być podobnym do tych, którzy na taką pogodę mogą biegać po dworze.

Artur podziękował pięknie gosposi, bo w saméj rzeczy pogoda była kaducznie nieznośna, a deszcz tłukł z łoskotem po chwiejących się okiennicach, tak że dwóch krołówby nie zrobił a byłby już do nitki zmoczony, Siadł zatém przy jednym ze stołów szkolnych, magister Chevance zapalił jednę świéczkę więcéj, a jego żona wziąwszy próżną butelkę i zadziawszy na głowę spódniczkę, wyszła mówiąc: „Jakaż burza! ciężko i psa na dwór wypędzić.

Mało znaczny akcent cudzoziemski, dał poznać od razu pani Chevance, że przybyły gość nie jest krajowcem, a złoto w woreczku, wskazało jego ojczyznę. Każdy cudzoziemięc z pełnym złota trzosem, jest w oczach pospólstwa koniecznie Anglikiem, a Anglika niemożna inaczéj nazywać jak Milordem, już to jest przyjęte u nas nieukow ciemnych. Tym razem przesąd nie chybił. Zjawienie się w Gminie Bussy-Saint-Mar-

tin, takiego Milorda, jest wypadkiem nadzwyczajnym, i pani magistrowa, potrzebowała więcéj jak kwandrans czasu do przyniesienia butelki wina, które się znajdowało w piwnicy kuma Péchu.

Musiała chodzić od jednéj chaty do drugiéj, i opowiadać swoim kumoszkom, jak jeden milord angielski, przypatrując się kościołowi, zaskoczony został od burzy, jak przyszedł prosić o gościnność magistra Chevance, który bezwątpienia cieszył się że będzie rozmawiać z cudzoziemcem po łacinie, i jak przyjemny wieczór mogą mieć damy, które zechcą, przez ciekawość, zobaczyć co to jest *Englihsman*.

Pani magistrowa mogła była jeszcze dłużéj niepowracać, a lord Artur, niegniewałby się oto; bo rozmowa z magistrem Chevance była zajmującą, a bardziéj, jedno jego słowo obudziło w obcym tłum wspomnień. Mała i posępna twarz Anglika, zajaśniała promieniem radości, gdy magister odpowiadał na jego zapytania:

— Tak panie, znajdujesz się istotnie w gminie Bussy-Saint-Martin... Dość to uboga okolica w pamiątki historyczne, nie ma tu nic osobliwego do widzenia, chyba jedna piwnica Księdza Pro-

boszcza; ale, w reszcie jest tu bardzo pięknie, kiedy deszcz nie pada, bo wtenczas, drogi są dostępne, inaczéj, ani sposób wyjść z domu, bez napotkania ścieków wody w których buty można pogubić.

— Bussy Saint Martin! powtórzył Artur, wstał i zaczął się przechadzać po izbie, wychylając niekiedy głowę za drzwi, jak gdyby chciał wsród ciemnéj nocy, przejrzéć położenie okolicy; mignięcie błyskawicy pozwalało mu czasem uchwycić kształt drzewa, chałupy lub jakiego innego przedmiotu, a każde takie odkrycie napełniało jego serce najżywszém wzruszeniem.

Ale wejdźże Pan do izby, albo przynajmniéj nakryj głowę, jeśli koniecznie chcesz na dwór wyglądać, bo niedługo cały zmokniesz. Ot, proszę, deszcz dostaje się do izby, i niebawnie stać będziemy wszyscy w wodzie; pozwól pan żebym drzwi zamknął.

Artur usiadł przed kominkiem, na który magister przyrzucił kilka drewek, żeby suknie gościa snadniéj obeschły. Anglik uśmiechnął się patrząc na to, i odezwał się:

– Musi wam się dziwnie wydawawać, że podobny czas obrałem na zwiedzenie waszych okolic.

— W saméj istocie, zapewne Panu pilno jest z niemi się zapoznać.

— O! znam je już..... to jest z nazwiska... często mi o nich mówiono w Londynie.

— Jak to! w Londynie wspominano by o Bussy Saint Martin? to niepodobna; gdyż ile razy bywałem w Paryżu, a pytano mię z kąd przybywam, zawsze byłem przymuszony objaśniać że gmina Bussy Saint Martin leży w Departamencie Seine et Marne.

— Dla przekonania was, iż posiadam niektóre wiadomości o téj osadzie, zapytam się tylko, czyli ów *kamień podniesiony*, który był kiedyś na boku pałacu, stoi jeszcze na tém samém miejscu?

— Nieinaczéj, Milordzie. Ale zkąd pan wiesz że mamy ten zabytek Gaulow, który dziś służy tylko do zabawki wiejskim dzieciom.

— Na tym właśnie kamieniu, rzecze Artur z widoczném wzruszeniem, przed laty...

— Tak, tak, przerwie pan magister, chwytając skwapliwie sposobność popisania się z swojemi uczonemi wiadomościami, o obrzędach druidów; dawno, przed laty, ci poganie zabijali na tym kamieniu ofiary ludzkie. Wiemy o tém do-

brze mój panie, od lat siedmnastu uczę w parafji jéj starożytną historję, wprzódy niżeli grammatykę i katechizm.

— A, a, dopiero od siedmnastu lat pan w téj gminie mieszkasz? zapytał Artur.

— Nieinaczéj, utrzymuję tu szkołę, i dystrybucję tabaki, od czasu jak powróciłem z kampańji Egipskiéj, którą odbyłem przy kommissji Instytutu..... jako...

— Uczony? mistrzu Chevance? wpadnie mu Anglik z zadziwieniem.

— Nie ze wszystkiém, milordzie, służyłem u Pana Denon, który mię nauczył po łacinie, i udzielił nieco edukacji, w nadgrodę mojej wiernéj służby.

— Kiedy tak, nie mieszkaliście więc, mistrzu Chevance w téj gminie, kiedy pierwszy raz przez nią przejeżdżałem... Byłem tu jeszcze przed wami.

— Przedemną!... jakto? pan tu byłeś przed siedmnastu laty? musiałeś wtenczas bydź bardzo młody?

— O, zapewne, ale późniéj o tém pomówiemy, bo i tak zdaje mi się że gosposia powraca z piwnicy.

Wracała ona w samej rzeczy, ale nie z piwnicy, lecz od sąsiadek z któremi musiała pogawędzić. Chociaż deszcz nie przestawał lać jak z cebra, jednakże naschodziło się wielu ludzi do domu magistra, bo każdy chciał mieć tę przyjemność, żeby się mógł pochwalić, iż widział w życiu swoim angielskiego Milorda. Ludzie nawet z osad okolicznych, do których wieść o przejeżdżającym Angliku doszła za pośrednictwém woźniców i innych przewożących siano lub nawóz, cisnęli się pod rozmaitemi pozorami do mieszkania mędrca szkólnego. Na przekor wnioskom pani magistrowéj, nie mówiono tam po łacinie ani po angielsku; ale zato podróżny wypytywał się, o produkcyi i potrzebach gminy. Jego wiadomości w nauce o uprawie roli, przemysle a nawet literaturze, zadziwiły wszystkich nie wyjąwszy samego magistra, któremu nie zdarzyło się nigdy spotkać uczeńszego od siebie, nawet kiedy był na obiedzie u Księdza proboszcza.

Był to wieczór przedziwny, a nawet korzystny dla mieszkańców gminy, lord Artur obsypywany był błogosławieństwami od matki, za któréj dwóch synków zapłacił szkołę na cały rok. Zapłacił także mamce, za karmienie dziecka, które chciano odesłać do familji w nędzy zostają-

céj, Wykupił od kowala wóz jednego włościanina, który nie był w stanie zapłacić za sporządzenie złamanéj osi. Na mistrza Chevance włożył obowiązek rozdania sabotów potrzebującym obuwia i dał mu prócz tego dwa luidory na uczynki pobożne. Słowem, obok licznych darów, udzielił przytomnym tak dobre rady co do uprawy ziemi i wytępienia szkodliwych zwierząt, że zyskał powszechne uwielbienie. Już się nawet między niemi rozchodził szmer, że to musi być sam Pan Bóg w swojéj osobie, który do nich zstąpił, jak niegdyś, kiedy wśród ulewy ulitowawszy się nad narzekaniami zagrzęzłego w błocie woźnicy, dopomógł mu wydobyć wóz bez pomocy drąga.

Pani Chevance, która w każdém zdarzeniu lubiła popisywać się z głęboką znajomością historyi ludów i testamentu, jedném słowem powściągnęła domysły oburzające jéj pobożność, oświadczając najbliższéj swojéj sąsiadce do ucha, że Pan Bóg nie brałby zapewne na siebie postaci angielskiego Milorda, ponieważ Anglicy są poganami bez religji, i wierzą w diabła.

Sto lat wprzódy, byłby dobroczynny Anglik drogo przypłacił wiadomości historyczne pani magistrowéj. Może by wtenczas przyjęła, ró-

wnie jak teraz, jego dary, ale bezwątpienia zostawił by heretyk I skórę i złoto w szkole magistra. Dziś już to nazwisko, nie zapali świętym gniewem, spokojnego mieszkańca wioski, i dla tego powiadają że oświata między niemi postęp uczyniła.—Chętniebym temu uwierzył, gdyby innego rodzaju szał, nie przekonywał czasem, że grubjaństwo ciemnych wieków drzymie jeszcze w ich krwi, i za lada drobnostką może być obudzoném.

Kilka niewiast szemrało: „Szkoda wielka" dowiedziawszy się, że lord Artur czci szatana; innych nie obchodziło to wcale, a ci którzy mieli udział w dobrodziejstwach młodego Milorda, nieprzestawali go uwielbiać, aż póki magister nie wyprosił wszystkich za drzwi, ile że już dosyć późno było.

Podczas gdy gospodyni krzątała się około posłania dla gościa, któremu niepodobna już było myśléć o powrocie do Lagny, i który wyrzec się musiał dobréj wieczerzy i wygodnego łóżka, Pan Chevance ofiarował fajeczkę Anglikowi, lecz ten podziękował i dał mu nawzajem przednie sygaro hawańskie. Kilka chwil przeszło w zupełnéj cichości; magister puszczając gęste kłęby aromatycznego dymu tytóniowego, krzyżował się

z milordem chodzącym po izbie. Obadwa zdawali się zamyśleni, tylko kiedy niekiedy, promień natchnienia zabłysnął w łagodném oku Artura, a czoło jego wysokie, marszczyło się i wyrównywało naprzemian. Twarz jego blada ożywiła się jak gdyby w głowie przebierał rozliczne myśli kombinacje. Postać cała Artura, sama z siebie regularna i piękna, okazywała jakieś ślady sprawowania w naukach, lub też wstrząśnięcia gwałtownych namiętności; ciało zdawało się wątłe, a jednakże muskuły wydatne twarzy, kąty czoła wypukłe, wybiegające z pod lasu czarnych włosów, zapowiadały w nim młodzieńca silnego, przedsiębierczego, a nadewszystko pełnego zdolności do wielkich pomysłów.

Ponieważ czasem rozmawiał sam z sobą dosyć głośno, przeto magister, który oka z niego niespuszczał, uchwycił jedno z jego wykrzyknień i odrzekł:

— „Masz Pan słuszność, można by tu wiele dobrego zdziałać.... gdyby ktoś z natchnienia Boskiego, chciał włożyć swój majątek, mógłby niezawodnie liczyć na to, że zyska.... pyszny artykuł w dzienniku departamentowym."

Artur uśmiechnął się wzgardliwie, cisnął resztę sygara w komin, i usiadł przy stole, na którym jeszcze stała butelka prawie nietknięta.

— Ponieważ słyszałeś com do siebie mówił, panie magistrze, zatém siadaj tu obok mnie, pogadamy nieco, o tém co by się dało zrobić dla pomyślności tutejszéj gminy.

Bardzo chętnie, tem chętniéj nawet, że nikt nade mnie, niemógłby rozsądniéj mówić o potrzebach naszych. Ksiądz pleban, nie lepiéj o nich wie, jak pański lokaj; a co się tyczy Podprefekta.... mówiąc między nami, i on się nie zna na swojéj rzeczy.

Zasiedli tedy jeden naprzeciwko drugiego; Artur nalał magistrowi kieliszek wina, które od razu pochłonięte zostało, pomimo że dojmujący kwas, nie pozwolił Milordowi skosztować go nawet, bez skrzywienia ust; poczém zawiązała się między niemi rozmowa, którą w następującym rozdziale znajdziemy.

II.

PLAN MIASTECZKA.

> Kilku rybaków zaczęło stawiać chaty, w miejscu gdzie Amstel wylewa swe wody do odnogi Zuidersee; budynki te rozciągały się wzdłuż brzegów, i nieznacznie stały się zarodkiem ludnego i handlownego Amsterdamu.
>
> *Przewodnik dla Podróżnych.*

— Wiesz co, Panie Chevance, pięknie sprawdził by sen swój ten, ktoby za pomocą pracy, starań i nakładu, za przebudzeniem ujrzał się opiekunem i protektorem krainy! ktoby sprowadził dostatek tam, gdzie była nędza, a handel i przemysł zaszczepił w miejscu, w którém zaledwie kilka rodzin, z roli mogło się utrzymać. Nieraz już doznawałem chęci zostania założycielem podobnéj osady, któréj bym moje imie mógł nadać.

— No, Panie łaskawy, gdybyś chciał do skutku doprowadzić owe wielkie zamiary, w naszéj małéj gminie, pewny jestem, że Ksiądz pleban nie czyniłby trudności w przechrzczeniu jéj. Wielki święty Marcin, nasz patron, mógłby sobie być zawsze naszym patronem w niebie, a my chętnie nazwalibyśmy się mieszkańcami miasteczka Bussy....Bussy.... jakże się Pan zowie?

Na to zapytanie, zmarszczył brwi Artur, a po krótkiém wachaniu się rzekł: „Nazywam się lord Wolsey.

— „Przedziwnie, Bussy-Wolsey, zawoła magister..... Jeżeli nie jestem w błędzie, to zdaje mi się, milordzie, dodał Chevance z niejakiém zadowolnieniem, że co tak bardzo pragnąłeś, zjiści się niezadługo: Wolsey odsadzi ś. Marcina. I wtém obejrzał się, z obawy czy nieusłyszała godna małżonka, tego niewinnego, jak mniemał bluźnierstwa.—Ah! rzecze daléj, gdybym był tak bogatym jak wy Panie milordzie, ta osada nosiłaby obdawna nazwisko Bussy-Chevance; bo trzeba wiedziéć że i ja także mam czasem chętkę podać moje imie do potomności; i spodziewać się powinienem, dzięki wszystkim *Venite adoremus*,

które na murach plebańji, moim podpisem opatrzyłem, (rozumie się za pozwoleniem wójta i księdza proboszcza), że moje imie nieprędko tutaj zaginie.“

Magister Chevance tak dobrze umiał trafiać w myśli młodego lorda, że ten coraz większą czuł do niego skłonność. Wziął go za rękę, i czule ścisnąwszy: jesteś, rzecze, człowiekiem dobréj rady, zobaczmy, pomówmy trochę, jak gdyby nasze marzenia miały się kiedyś sprawdzić. Cóżby można uczynić dla téj okolicy?

— Wszystko, łaskawy milordzie, zważywszy że oprócz piwnicy księdza proboszcza, i mojej szkółki, którą śmiele powiedzieć mogę, starannie utrzymuję, nic tu nie ma dobrego.

— Pomimo tego, twoja szkoła jest nędzną lepianką, tak jak wszystkie inne, i uważam że wasze chałupy słomą kryte, śmiesznie wyglądają obok kościoła swieżo i fundamentalnie zbudowanego. Czyliż nie należałoby w miejsce tych nikczemnych mieszkań postawić pod sznur, porządne domy murowane?

— Zapewne, byłaby to myśl wyborna, zwłaszcza że mój szwagier, który jest mularzem, jest własnie bez roboty. Jest to lepski chłopak, zna

swoje rzemiosło... Mogę go panu polecić, będziesz z niego kontent.

— Gdyby przez środek ulicy, szedł ściek porządnie obrukowany i czysto utrzymywany, uważasz że to by znacznie podniosło ozdobę miasteczka.

— Masz Pan słuszność, potrzeba nam koniecznie ulicy brukowanéj; to mi zawsze mówił kuzyn Giraud, ile razy do mnie przyjechał z Fontainebleau, gdzie jest kamieniarzem. Już ja się w téj mierze porozumiałem z księdzem proboszczem; ale znalazł ku temu przeszkodę, na którą nie miałem nic do powiedzenia.

— Jakaż to? zapytał młody lord, który zaczął się już zapalać do swojego projektu.

— Mój Boże, rzecz prosta, ksiądz proboszcz oświadczył mi, że moja myśl jest wyśmienita, że ulica sucha przydałaby się bardzo, zwłaszcza że często potrzeba chodzić do chorego, ale zkąd wziąść pieniędzy na wybrukowanie całéj gminy? Otóż na to nie mam co powiedzieć.

— Dobrze, dobrze! odrzekł Artur, ta okolica spodobała mi się, a że mogę mieć środki uczynienia czegoś dla niéj... Wiesz co, że byłoby to pyszne, gdybym założył tu rękodzielnią, n. p. papieru, płótna, szkła; dałaby ona zatrudnienie

okolicznym gminom, a na nasze miasteczko sprowadziłaby dostatek i życie.

— I oświatę panie milordzie, gdyż rękodzielnia ściągnęłaby ludzi do miasteczka, ludzie mieliby dzieci, a te chodziłyby do szkoły; a ponieważ moja szkoła jest tu jedyną, zatém jabym się ujrzał na czele wszystkich tych bębnów...

— Targowisko w Lagny, zbyt jest odległe, możnaby tu inne założyć na jakiém pustkowiu.

— Do licha, wszak miejsce na to jest jakby znalezione, zawołał magister, łatwo zgodziemy się o cząstkę spadku, jaki mi zostawił mój dziadek stryjeczny, Morand.

— Chciałbym także mieć studnię, nie wykwintną, ale porządną, na placu przed kościołem. Pomówię o tém z znajomym mi budowniczym.

— Bez studni, gmina się nie obejdzie. Moja żona nie byłaby przymuszoną chodzić aż do St. Georges, gdzie wszyscy cisną się do mizernéj kałuży.

— Chciałbym także żeby drogi bite ułatwiały kommunikację; jest to rzecz nader pożyteczna.

— Komuż to pan mówisz? Wiem o tém najlepiéj, wszakże dwa razy na tydzień muszę cho-

dzić do Lagny, a często bardzo mam pogodę taką jak dziś.

— Wkońcu, na uwieńczenie całego dzieła, twoja szkoła Panie Chevance, stała by się prawdziwie użyteczną, gdyby moje projekta skutek wzięły.

— Jak to zaś, użyteczną? sądzę że ona i dziś dość jest użyteczną, kiedy uczę gramatyki, pisania, i czterech reguł arytmetycznych, za 12 sous na miesiąc, a za 20, z łaciną i papierem dla uczni.

— Powiedziałem że byłaby twoja szkoła użyteczną, bobym z niéj uczynił zakład zupełnie filantropijny. Dzieci mieszkańców gminy, chodziłyby do téj szkoły bezpłatnie.

— Bezpłatnie! zawoła znow magister; mam zaszczyt uczynić panu uwagę, że potrzeba mieć więcéj dostatków, jak ja ich mam, aby nauczać dzieci za darmo.

— Nie rozumiesz mnie, mistrzu Chevance; wskutek moich planów, dochody gminy powiększyłyby się dziesięć razy, co mówię, sto razy, a przeto, mogłaby być ustanowiona przyzwoita pensja dla tego, którýby swoj czas i naukę poświęcił publicznemu oświeceniu.

— O! kiedy tak, to zgadzam się zupełnie z pańskiém zdaniem, tém bardziéj, że częstokroć, aż do żniw czekać muszę na opłatę szkolną, a czasem przymuszony jestem z żalem zawiesić nauki, nie mogąc wydobyć grosza od rodziców moich uczni.

— Nie mówię ja, mistrzu Chevance, żeby to wszystko miało się zjiścić; ale pomyślemy o tém.... tak, pomyślemy, powtórzył lord Artur, musiałbym chyba być zupełnie nieszczęśliwym, gdybym niedopiął na ostatek tego, iżby mówiono: „Widzisz kolonję pięknie kwitnącą w miejscu nędznego folwarku; to wszystko jego dziełem, jemu się chwała należy.

— Bądź pan pewny, milordzie, że patron nasz, St. Marcin, ustąpi mu swego miejsca tu na ziemi. Nadto piękne projekta wysnuliśmy dzisiaj, ażeby gmina nie miała nadziei wkrótce być nazwaną, Bussy-Wolsey.

W chwili gdy mistrz Chevance mówił o możności zmienienia gminie nazwiska, gdyby kto przyłożył rękę do piersi młodego lorda, poznałby zaraz po przyspieszoném biciu serca, że magister poruszył jego słabą stronę.

Rozmowa powyższa, przedłużała się jeszcze czas niejaki, chociaż zatopiony w myślach lord, jednogłoskami tylko odpowiadał.

— Wyś nieuicie! zawołał nauczyciel szkółki, pan rozbierasz z uwagą nasz pomysł.... Żeby nie uronić czego z projektowanych dopiero ulepszeń, spiszę za pozwoleniem pańskiém, w krótkości, cośmy uradzili.

— Dobrze, zanotuj przyjacielu, rzecze Artur, i sparłszy się na poręczy stołka, na którym magister siedział, śledzi wzrokiem każde poruszenie jego pióra, które ten ostatni starał się uczynić szybkiemi, żeby dać poznać wielką łatwość pisarską.

Chevance wykładał tedy na papier projekta swego gościa, przy czém narysował plan dosyć akuratny caléj gminy, wyciągnął linię mającą wyobrażać ulicę, oznaczył miejsce na rynek, studnię, i nakreślił początek gościńca mającego prowadzić do plamy atramentowéj, pod którą podpisał: «Lagny.» Lord Artur, tak był ucieszony tym planem, że miał ochotę położyć pod spodem swoje nazwisko; ale magister równie pyszny z swojéj roboty, uczynił mu uwagę, że papier tak jest zapisany, iż ledwie tyle zostało miejsca, aby

na niém zmieścić jego niezbędne: *Chevance, magister, fecit.*

Podczas tego wszystkiego, pani Chevance przygotowawszy posłanie dla gościa, drzymała w krześle przed kominkiem. Kukawka na zegarze wybiła jedynastą godzinę i przebudziła panią magistrowę, która zapytała się męża, czy myśli całą noc siedzieć nad pisaniem. I Artur zaczął już czuć potrzebę snu, powiedział zatém dobra noc gospodarzom i przeszedł do alkierza w którym miał nocować. W kwadrans później widział we śnie zijszczenie pomyślności, jaką projektował dla mieszkańców owéj gminy Bussy-St. Martin, któréj nazwisko uczyniło na jego umyśle, wrażenie równie przykre jak miłe.

Co do magistra, ten nie mógł tak prędko zasnąć, długo czynił on domysły nad bogatym i dobroczynnym gościem swoim, a gdy się jego wyobraźni nowa myśl przedstawiła, trącił w bok swoją połowicę w głębokim śnie zagrążoną, żeby miał z kim jeszcze pogawędzić.

— To musi być jaki par, książe, mościa pani albotéż może jaki królewicz....

Pani magistrowa obróciła się na drugi bok, i nic nie mówiąc, oddała kułak za kułak, który jéj

tak niewcześnie sen przerwał. Chevance dla tego nie przestawał czynić daléj swoich domysłów; przebiegł on całą hjerarchję magnatów, bo poczciwiec rozumiał, że tak wielkie, tak wspaniałe projekta, nie mogą być udziałem jak tylko osób wysokiego rodu.

Nazajutrz gdy lord Artur zabierał się do opuszczenia chaty szkólnéj, magister chciał mu towarzyszyć, oświadczając, iż obowiązkiem jest jego wskazać gościowi drogę.

W téj usłużności mieściło się nieco ciekawości, chciał bowiem zobaczyć, czyli dwór i ekwipaże cudzoziemca, odpowiadały wysokiemu mniemaniu jakie o jego dostatkach powziął. Mieszkańcy folwarku, który jeszcze nie wyszli do roboty w polu, powychodzili przed chaty, dla oddania ukłonów milordowi angielskiemu, który obiecywał nie zadługo do nich powrócić.

Przybywszy do Lagny, zastał Artur pojazd już sporządzony, i skłopotanych służących z nieobecności pana. Wynadgrodził sowicie oberżystę i wsiadł do powozu, ponowiwszy magistrowi Chevance przyrzeczenie że przed upłynieniem miesiąca, powróci do Bussy St. Martin.

Nauczyciel szkółki, zobaczywszy bogaty powóz i ludzi milorda, powracał do domu, napuszczony szacunkiem i ufnością, na które potrafił sobie zasłużyć, u tak znakomitéj osoby.

Przez cały miesiąc nie mówiono u wójta gminy i u księdza proboszcza, a nawet i u pana pod-prefekta obwodu, jak tylko o obszernych planach cudzoziemca. Rysunek nowego miasteczka, zrobiony przez magistra, przechodził z rąk do rąk, i otrzymywał coraz nowe poprawki, i dodatki. Miesiąc ten przeszedł, a lord Artur nie przybywał, upłynął drugi i trzeci, rok cały, i nie było go widać. Już nawet ślad pamiątki bytności milorda w gminie, zatarł się zupełnie, i tylko ieden magister ciągle miał nadzieję, że prędzéj czy późniéj milord przyjedzie.

W takiém usposobieniu znajdowały się umysły w Bussy St, Martin, gdy razu jednego, powracający z targu w Lagny, dali znać że milord przyjechał.

Magister, który od roku prawie, z zwieszonym nosem, cierpliwie znosił przegryzki sąsiadów względem ulubionego planu miasteczka, podniósł się dumnie i zawołał: „Byłem tego pewnym.“ Zaczął rozprawę o fałszywych radach ludzi, o ich niewdzięczności, ale nikt nie chciał słuchać,

każdy się bowiem spieszył iść na spotkanie opiekuna; tak bowiem już mianowali Anglika.

Lord Artur nie sam przyjechał, miał z sobą inżynjera dróg i mostow, dwóch budowniczych, z pół tuzina mularzy i różnych przedsiębierców.

Powszechnym odgłosem radości, uwiadomiony o przybyciu milorda ksiądz pleban, poszedł natychmiast do wójta, dla porozumienia się względem przyjęcia i pomieszczenia znakomitego gościa. Dwie te najwyższe w gminie władze, zgodziły się na to izby połączonemi staraniami podejmować gościa, po wielu zatém rozprawach stanęło na tém, że lord Artur miał jadać w Plebańji, a wójt wziął na siebie dostarczanie wiktuałów, poczém udano się na spotkanie Anglika, który już wychodził z wązkiéj ścieżki, dobrze nam znajoméj.

Pomijam wszystkie oznaki radości poczciwych ludzi, radości rozumie się interessownéj, jaką zwykli okazywać wieśniacy w pobliskości stolicy mieszkający. Artur przyrzekał zwiedzić wszystkie chatki po kolei, a tymczasem udał się do plebańji, wraz z wójtem i nieodstępnym magistrem, który wewnętrznie przywłaszczał sobie część hołdów oddawanych Anglikowi. Pani Chevance

ze względu na powagę jaką sobie jéj mąż nadawał, przyjęła również powierzchowność znaczącą, i obiecywała protekcją dla tych którzy się pokażą godnemi jéj względów. Ponieważ zaś w takim razie słusznie obawiano się skutków uprzedzenia, przeto ci którzy się poczuwali, iż kiedyś mogli ściągnąć na siebie niechęć lub nieprzyjaźń pani magistrowéj, starali się teraz nadskakiwaniem zasłużyć na jéj względy; a tak kiedy przyszły dobroczyńca biesiadował w plebanij; z pierwszemi osobami gminy, tymczasem szkółka parafjalna napełniała się odwiedzającemi i szukającemi protekcji.

III.

WYCIECZKA DO BUSSY ST. MARTIN.

Pustota jest gorączką wyobraźni,
którą gorzkie rozmyślanie leczy.
Boiste.

W kilka dni po powrocie Artura, plan miasteczka Bussy, przedstawiony został do potwierdzenia wyższéj władzy. Na podanie fundatora,

pan Minister odpisał list bardzo pochlebny, albowiem powzięte wiadomości o kapitałach Anglika, nie zostawiały żadnéj wątpliwości. Wzięto się zatém do roboty. Kilku rękodzielników z miast pobliżkich, oświadczyło się przenieść na mieszkanie do Bussy-Wolsey. Towarzystwo pewne kapitalistów, ofiarowało zakupić grunta jakich plany Artura wymagały. Zgromadzono mnóstwo robotników dla ożywienia pracy około kopania i budowania, nakoniec założono wielką księgę u wójta, do zapisywania robocizny. Magister, jako osoba wielkiego znaczenia, miał dozór zwierzchni nad tą księgą.

W dzień wyznaczony do rozpoczęcia robót, ksiądz Pleban najprzód processjonalnie wyszedłszy z kościoła, pobłogosławił pracom, a wszyscy mieszkańcy w świątecznych ubiorach, towarzyszyli temu obrzędowi, poczém gdy się nabożeństwo odprawiło z przyzwoitą uroczystością, kazał lord Artur wytoczyć sześć beczek wina, na plac mający być kiedyś rynkiem.

Dwa tygodnie czasu jeszcze zeszło na samych przygotowaniach. Artur zarówno z innemi robotnikami, od samego rana codzień pracował, to z motyką to znów z taczkami, i dopiero wieczorem wypoczywając, rozmawiał z budowniczemi,

którzy mu nowe myśli przedstawiali. Od czasu jak wieśniacy spostrzegli, że delikatne ręce milorda, dzielnie władały motyką, uszanowanie ich dla Artura zwiększyło się widocznie. Ubior jego nie różnił go w niczém od innych robotników; i obcy możeby go poznał jedynie po większéj płynności w mowie, i szlachetnem spojrzeniu.

Ale nie w samym tylko Bussy, mówiono o planach młodego lorda; rozprawiano o nich i w gminach okolicznych, a osobliwie w zamku Torcy, którego bogaty właściciel, zbierał u siebie co lato dobrane grono przyjacioł, ażeby użyć nieco rozrywki, w zamian za otwartą gościnność.

Meżczyzni rozbierali poważnie korzyści przedsięwzięcia lorda; co się zaś dam tycze, te uwielbiały go za tak piękne użycie swych bogactw. Już od kilku dni ułożono zrobić małą wycieczkę do Bussy, dla przypatrzenia się robotom. Nikt nie znał lorda Artura, prócz tylko z opisów służących pałacowych, ale wiedziano że jest młody, bardzo majętny i przystojny: i dla tego też damy przypisywały jego dobroczynność, skutkom doznanego zawodu nadziei w tkliwych uczuciach. Według ich zdania, miłość zdradzona, lub utrata przedmiotu ulubionego, natchnęła lorda Wol-

sey potrzebą dobrze czynienia, tak właśnie jak rany miłości, przyprowadzają niekiedy innych do nienawiści ludzi i samobójstwa. Odrzucając myśl widoków pieniężnych, któreby w ich oczach poniżyły tego, w którym upatrywały bohatera, wielbicielki Artura, tworzyły tysiączne romanse, gdzie miłość najgłówniéjszą grała rolę, ażeby dociec powodów dla czego właśnie wybrał nikczemną gminę Bussy St. Martin, iżby w niéj stanowić tyle pożytecznych zakładów, którym okolica miała być winna pomyślność i dostatek. A ponieważ wszystko co jest szlachetne i czułe, porusza mocno wyobraźnię kobiet, i udziela im ową wymówę serca i oczu, któremi z taką łatwością pokonywają pyszną naszą naturę męzką, przeto damy, bez trudności skłoniły umysły flegmatyczne i uporczywe rachmistrzów, na stronę ich korzystnéj o Arturze opinji.

Jedna tylko osoba w Torcy, nie zdawała się podzielać powszechnego uniesienia; była to panna Konstancya Van-Helmont, siostrzenica i dziedziczka jednego z najznaczniéjszych bankierów Amsterdamu. Przybyła ona z siostrą bankiera, która miała interessa w Paryżu, a którą związki

pokrewieństwa łączyły z dziedzicem zamku Torcy. Zimna obojętność Konstancyi, szczególnie odbijała od ogólnego zapału, z jakim rozmawiano o Angliku. Piękna i milcząca holenderka, ledwie skinieniem głowy odpowiadała na zdania innych dam; ruszano ramionami, ona nic nie rozumie, mówiono, nie ma czucia, to jest piękny posąg, i przyszło nareszcie do tego, że ją przezwano: Serce kamienne.

W dzień przeznaczony na wycieczkę do Bussy miano wyjechać zaraz po śniadaniu, i gdy wszystkie damy wysilały się na świeżość toalety, jak gdyby chciały oczarować swemi wdziękami młodego lorda, Konstancya w ubiorze rannym, przemyśliwała nad sposobami zręcznego wymówienia się od należenia do wyprawy.

Baronowa de Mezarac, ukazała się najpierwsza w salonie, i nie mało zdziwiła się, widząc taką obojętność Konstancji, która spokojnie siedziała przy krosienkach, jakgdyby nic nie wiedziała o przejażdżce od trzech dni ułożonéj.

— Jakto, nie chcesz z nami jechać? zapytała pani Mezerac.

— Pojadę, jeżeli tego koniecznie żądają, ale prawdziwie nie mogę pojąć, jaką przyjemność

spodziewacie się znaleść pomiędzy gruzami, belkami, i deskami, zawalającemi nikczemny folwark, w którym nic nie ma do widzenia?

— Aleź my nie folwarku jesteśmy ciekawe, my chcemy jego zobaczyć, lorda Artura.

— Może będziecie żałowały téj ciekawości..... jeżeli widok tego którego tak wychwalacie, zmniéjszy wasze podziwienie..... Wiesz dobrze Pani, że częstokroć spotkawszy się przypadkiem z jakim bohaterem, nie widziemy w nim jak tylko człowieka pospolitego.

— Prawdziwie, odpowie Baronowa, nie umiem sobie wytłómaczyć twojéj oziębłości. Lord Artur! człowiekiem pospolitym! To jest okropność tak rozumować, wtenczas kiedy my wszystkie przekonane jesteśmy, że jego serce wspaniałe, cierpi dolegliwe smutki... Nie jest to pospolity człowiek, który w kwiecie młodości, obdarzony najpiękniéjszém wychowaniem, chętnie zakopuje się z swoim majątkiem, pomiędzy wieśniakami, oddaje się najcięższéj pracy: przeciwnie potrzeba na to umysłu ognistego, serca okrutnie udręczonego, które stara się ukoić cierpienia nieszczęśliwéj miłości.

Konstancja uśmiechnęła się z miną niedowierzającą, a pani Mezerac bardziéj tém rozdraźniona, dodała:

— Zdaje się jak gdyby panna Van-Helmont wiedziała więcéj cokolwiek od nas, w takim razie proszoną jest żeby nam wyjaśniła powód swojéj niechęci dla lorda Artura.

— Niechęci! odpowie Konstancja, nie wiem w czém ją dostrzegacie... Pani jesteś Francuzką, a tém samém przesadzasz w tém wszystkiém co ci się wydaje pięknėm, i bez zastanowienia szacujesz powierzchowną wspaniałość. Daleką jestem od przyganiania tak szczęśliwemu usposobieniu, ale nie obwiniaj mnie pani, jeżeli nie potrafię chwalić rzeczy na samo słyszenie o niéj. W naszym zimnym kraju, wzruszenia duszy nie tyle są skoremi co tutaj, nasze serca są bojaźliwe, powolne, i przyznaję że nam słusznie zarzucają, że mniéj od was żywo czujemy, i nie tak prędko oddajemy się popędom serca, ale też niemniéj sprawiedliwie utrzymują, że wrażenia nasze są niezatarte, wieczne, i jeżeli raz pokochamy, to już na zawsze.

Ktoby znał dobrze historję serca baronowéj, dostrzegłby w mowie spokojnéj i obojętnéj Konstancji, dotkliwe epigramma, na jéj postępki, niekoniecznie

przystojne. Gdyby to było w obecności świadków, niezawodnieby się zmięszała i zbladła ze złości. Szczęściem były same, i baronowa naśmiawszy się serdecznie, rzekła:

— Moja duszko, nigdybym nie uwierzyła, ażeby serce takie jak twoje, zdolne było do gwałtownéj namiętności, ale wszystko to nic nie dowodzi, ani za, ani przeciw naszemu kochanemu Arturowi; a ponieważ mówisz, że nie umiesz kochać na samo słyszenie lub niepewne pozory wspaniałości, nie powinnabyś także, żeby nie być sama z sobą w sprzeczności, nienawidzieć tego którego nie znasz.

— Dobrze więc! kiedy trzeba koniecznie wyznać; tak jest, nienawidzę lorda Wolsey, z całéj mojéj duszy, a to dla tego, że go znam, że miałam sposobność ocenić jego wyniosłość w obcowaniu i zarozumiałość.... i że go nadto często widziałam, ażeby poznać że jest nietylko najdumniéjszym, ale nadto najmniéj wspaniałym z ludzi.

Konstancja mówiła to z ogniem i szczególną żywością, tak, że się Baronowa zadziwiła, nigdy jéj bowiem jeszcze nie słyszała mówiącéj z takim zapałem, jeszcze przeciwko uwielbionemu od

wszystkich bohaterowi, a ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, rzecze:

— Czemuż mi tego dawniéj nie powiedziałaś? Przyznaj, że to jest okrucieństwem, milczéć wtenczas, kiedy my starałyśmy się zkąd bądź dowiedziéć się czegoś o lordzie Arturze; o jego powodzeniu na wielkim świecie, rysach twarzy, spojrzeniu, głosie, słowem o wszystkiém co by się jego tyczyło.

— Milczałam, pani, bo nie zdawało mi się stosownem, niszczyć uprzedzenia tak miłego dla was; ale ponieważ jestem zniewoloną do mówienia, muszę wyznać, że dobroczyńca Bussy, niezostawił w Amsterdamie osobliwéj pamiątki owéj zawołanéj reputacji. Gdybyś pani, tak jak ja widziała, z jak dumną wzgardą obchodził się z kobiétami; jak szkaradnie obszedł się z godnym wszelkich pochwał młodzieńcem, którego nazywał swoim sekretarzem! Pan Wolsey mieszkał u mojego stryja; tam byłam świadkiem zdarzenia, którego samo wspomnienie przejmuje mię zgrozą. To co mam jeszcze do powiedzenia, niezawodnie szkodzić będzie dobremu mniemaniu jakie masz o milordzie, ale żądasz żebym się u-

sprawiedliwiła z mojéj ku niemu niechęci, jak nazywasz, przeto muszę ci zadosyć uczynić.

»Lord Wolsey mieszkał u nas od trzech miesięcy. W sąsiedztwie mieliśmy kupca, który był przyjacielem naszego domu; miał on córkę, towarzyszkę mojéj młodości, nazywała się Karolina. P. Henryk, sekretarz lorda Artura, bywał przyjmowany od mego stryja tak dobrze jak i jego pan, a nawet przyznam się, że pan Van-Helmont przekładał jego nad towarzystwo milorda, którego próżność podniosła jeszcze bardziéj rozsądek i słodycz w obcowaniu pana Henryka. Karolina nie mogłaby być nieczułą na piękne przymioty sekretarza, a pan Henryk powziął do niéj równie czułe przywiązanie. Byłam powiernicą téj czystéj miłości. Karolina nie miała dla mnie żadnéj tajemnicy, a daleka od ukrywania się z uczuciami niewinnemi, namawiała mnie owszem żebym o tém uwiadomila mojego stryja, iżby ten mógł wybadać zamiary i myśli jéj ojca pana Kinberg, względem małżeństwa jakie układałyśmy między nami. Wszystko szło dosyć pomyślnie. Ojciec Karoliny zamierzał wprawdzie dla swéj córki zamęście korzystniejsze pod względem majątku, jednak dobre przymioty pana Henryka, jego piękna i skończona edukacją, odniosły zwy-

cięztwo nad dawniéjszemi zamiarami pana Kinberg, który razu jednego zwierzył się mojemu stryjowi, że jeżeli młodzieniec ten spodobał się Karolinie, byleby tylko pochodził z uczciwéj familji, może być dosyć bogatym z jéj posagiem, aby zajmować w świecie przyzwoite miejsce; prócz tego myslę ustąpić mu moje interesa, a nim to nastąpi, mój zięć może być tymczasem moim pierwszym kommissantem. Właśnie kiedy udzielałam panu Henrykowi tych wiadomości, i prawdziwie cieszyłam się jego szczęściem, wszedł lord Wolsey, któremu Henryk natychmiast wszystko opowiedział. Zmarszczył brwi, zdawał się chwilę namyślać, i wyrzekł: To bardzo dobrze Henryku; przestaniesz już martwić się, że jesteć podrzutkiem bez imienia, bo będziesz miał twoją rodzinę jak każdy inny. Na te słowa osłupiałam, znaliśmy bowiem Henryka pod imieniem pana Darnlej. Spojrzałam na niego, był blady i drżący. Nie będę opisywała drwiącéj miny lorda Artura, nie dobrałabym bowiem na to właściwych wyrazów. Po chwili wszelako przyszedł Henryk do siebie, i spoglądając na swojego pana rzekł mi: Milord prawdę powiedział, niepowinienem taić mojego urodzenia, jestem sierotą i wszystko winien jestem dobrodziejstwom ojca

milorda. Postanowili oni wspólnie, abym przyjął nazwisko jednego z ich majątków w Anglji a to ażeby nikt nie wiedział o prawdziwém mojém pochodzeniu, któreby mi mogło zamknąć drogę do uczciwego zapewnienia sobie losu. Ten który miał o mnie staranie, który przyjął dziecię opuszczone, miał mi nadać własność téj ziemi jako miano familjne; lecz sądzę, że szlachetniéj będzie zwierzyć się we wszystkiém panu Kinberg; mam nadzieję, że to niestanie się zagrodą mojego szczęścia.

Nie miałam odwagi zasmucać bardziéj młodzieńca; a jednak nie mogłam mu obiecywać wiele nadziei i wiedziałam dostatecznie, że jeżeli pan Kinberg okazał się powolnym pod względem majątku, pod względem urodzenia niezawodnie będzie niepokonanym. Wiedziałem i to, że pobłażanie jego na miłość Karoliny, było skutkiem miłości własnéj; zdawało mu się albowiem że przyszły zięć należy do familji Wolsejów. Pomimo okazywanéj przez lorda Artura wyższości, widoczną częstokroć była pomiędzy nim a Henrykiem niejaka poufałość, która pozwalała wnioskować, że ten ostatni musi być krewnym młodego lorda. Związek aczkolwiek daleki

z członkiem parlamentu Angielskiego, pochlebiał znakomicie próżności ojca Karoliny.

Udzieliłam mojéj przyjaciołce zwierzenie się jéj narzeczonego. Biedne dziecko, ze łzami rzuciła się w moje objęcia wołając: „Wszystko stracone, już jedną partję dla mnie, odrzucił ojciec, chociaż według niego odpowiadała lepiéj jak obecna jego widokom, jedynie dla tego, że upatrywał jakąś wątpliwość co do pochodzenia osoby starającéj się o mnie. Osądź zatem Konstancyo, czy zezwoli na oddanie córki temu, któ- ry swoich rodziców wymienić niepotrafi.“ Cierpiałam niewymownie, patrząc na rozpacz mojéj Karoliny, czułam jak boleśnie jéj było wyrzec się miłości dla Henryka, i napróżno szukałam sposobów uchylenia téj przeszkody.

— To przechodzi samą smierć, zawoła Karolina, mój ojciec nigdy nie da się nakłonić.

— Lecz gdybyśmy mu prawdę zataiły! gdybyśmy się poradziły lorda Artura, zniewoliły go na stronę twojéj miłości.... gdybyś miała dosyć odwagi oszukać ojca!... Jest to okropna rada, Karolino, ale jeżeli ci ma oszczędzić wiecznego cierpienia, niepowinnaś się wahać w chwyceniu się onéj.

— Ale mój Boże, odpowie ona, czyliż żądasz żebym nawet w oczach Henryka stała się godną pogardy? a jednakże, wierz mi Konstancjo, czuję, przewiduję, że jeżeli po tak pewném spodziewaniu się, nie zostanę małżonką Henryka, nie przeżyję tego nieszczęścia.

— Bądź pocieszoną, powtarzałam jéj, rozmówię się z lordem Arturem. Wszakże nam Henryk powiedział, że ojciec jego pana chętnie nadamu tytuły do wioski Darntlej, jako składającéj część dziedzictwa familijnego; otóż będę nakłaniać młodego lorda, żeby wyjednał u ojca te tytuły, i zamilczał urodzenie Henryka, a tajemnica zostanie między nami.

Uściskała mię serdecznie Karolina, za ten balsam pociechy. Wprawdzie przykro mi było udawać się z przedstawieniami do człowieka, którego nie mogłam cierpiéć, ale szło o pomyślność przyjaciołki, a to dodało mi odwagi. Lord Artur oświadczywszy, ile mu było przykro że sprawił nieprzyjemność pannie Kinberg i przyrzekłszy wszystko naprawić, dodał: „Nadejście dowodów potrzebnych do wyjaśnienia tytułów pochodzenia Henryka, spodziewane jest niebawnie, tymczasem

można daléj czynić przygotowania do zaślubin. Łatwo namówiłyśmy Henryka, żeby nic nie mówił o swojém urodzeniu, i niezadługo nadszedł dzień podpisania kontraktu ślubnego. Lord Artur czekał tylko téj pory, aby się udać w dalszy ciąg zamierzonéj po Europie podróży. Młody ten człowiek, tyle próżny i dumny, stał się przyjemniéjszym od czasu jak projekt połączenia się Henryka z Karoliną ułatwił mu wstęp do domu pana Kinberg. Bywał on tam często, i zawsze szukał sposobności znajdowania się sam na sam z Karoliną, która, jak uważałam, starannie go zawsze unikała. Pewnego rana narzeczona Henryka przyszedłszy do mnie, z widoczném pomięszaniem, prosiła mię abym codzień u niéj bywała, dopóki ślub nie nastąpi: Zatrudnienia około mojéj wyprawy, niech ci za pozór służą, trzeba żebyś mię nigdy nie odstępowała, ażeby lord Wolsey, nigdy mię samą nieznalazł, bo inaczéj musiałabym się dopuścić obrazy, za którą mógłby się na Henryku pomścić.

— Za cóż obrazy? zapytałam cała zrumieniona?

— On mnie kocha, odpowiedziała, kocha tak jak on rozumie podług siebie, jeszcze jedną ofiarę chce dodać do liczby swoich zdobyczy.

Ani proźby, ani wzgarda, ani nawet groźby, nie zdołają go poruszyć. Kiedy go na klęczkach błagałam aby mię szanował, powiedział że ma środki do pokonania oporu, a czego miłością nie może dostąpić, dokaże postrachem... Konstancjo, nieopuszczaj mnie w tém okropném położeniu!

Dopiero zrozumiałam do czego dążyła tak nagła zmiana w obejściu lorda, żeby zatém obronić moją przyjaciołkę od grożącego jéj nieszczęścia. sprowadziłam się, za zezwoleniem mojego stryja, na mieszkanie do domu Kinbergów. Lord Artur nieokazywał żadnéj niechęci z ciągłéj mojéj obecności, przychodził codzień z równą pilnością, lecz w niczém nie zdradził swoich zamiarów względem narzeczonéj swojego Sekretarza. Późniéj jego wizyty stawały się coraz rzadsze, a nareszcie wcale już nie przychodził.

Cieszyłyśmy się z pożądanego skutku naszego układu, i zdawało s ę że już nic nie zakłuci szczęścia Karoliny, gdy nadszedł dzień zaręczyn. Henryk otrzymał już z Anglji potrzebne papiery, a świadkowie zgromadzili się na śniadanie u pana Kinberg. Henryk, Karolina i ja, znajdowaliśmy się na sali, kiedy wszedł do niéj lord Wolsey, Pokłonił się wszystkim bardzo grzecznie, wręczył

panu Kinberg akt przysłany z Londynu przez hrabiego Wolsey, i gdy go tenże czytał, uważałam że lord Wolsey wziął Karolinę za rękę i poprowadził do okna. Zażyłość nasza, i odkrycie przed kilkoma dniami uczynione, ośmieliły mnie do ciekawości, zbliżyłam się więc nieznacznie, i usłyszałam lorda mówiącego: Nie sądź Karolino żebym się dał omamić zmową jaką z panną Van Helmont przeciwko mnie uczyniłaś. Karolina drżała, mnie oddech się w piersiach zatrzymał.

— Czy będziesz zawsze, rzecze daléj, uporczywie gardzić hołdem mojéj miłości?

Moja przyjaciołka, wymówiła kilka niezrozumiałych słów, których dosłyszéć nie mogłam, ale uważałam po poruszeniu milorda, że jéj odpowiedź nie mogła być inną, jak taką którąbym na jéj miejscu sama dała.

— Jeszcze raz się pytam, dodał Wolsey, czy nieodzownie postanowiłaś mną wzgardzić. Żądasz iżbym cię szanował, to jest żebym się uznał za zwyciężonego, i żebym tylko poniżenie odniósł. Chcesz żebym ustąpił w miłości człowiekowi bez imienia, który z głodu by umarł gdyby nie miłosierdzie mojego ojca. Dobrze więc,

będziesz pani zadowolnioną, nie będę cię więcéj nudził mojemi oświadczeniami; niczego się nie obawiaj, będę względny na żonę mojego służalca. To powiedziawszy odszedł od Karoliny, do któréj natychmiast przyskoczyłam, bo widziałam, że odchodziła od przytomności. Co do mnie, uczułam największą wzgardę dla lorda Wolsey. Zbliżył on się do pana Kinberg; a gdy ten wzywał przytomnych, ażeby się udadź do Notarjusza, odezwał się:

— Proszę wybaczyć, że nie mogę towarzyszyć; nagły rozkaz ojca, powołuje mnie natychmiast do Londynu. Już jestem gotów do drogi, ponieważ muszę jeszcze być w Harłem nim na okręt wsiądę. Życzę ażeby zięć waćpana, tyle miał zaszczytu z swojego nowego nazwiska Darntlej, ile go miał dotąd z imienia Henryka podrzutka!

— Niegodziwy! zawołała Karolina, i padła bez zmysłów.

— Podrzutek! powtórzył pan Kinberg patrząc na nas. Wszyscy oniemieli z podziwienia. Henryk westchnął głęboko, i zwiesił głowę, na cios tak niespodziewany.

Milord napawał się przez czas niejaki przerażeniem Karoliny i Henryka, a potém niby chcąc złe naprawić, dodał:

— O! przepraszàm! zapomniałem, że dzięki donacyi mojego ojca, Henryk może od dnia dzisiéjszego używać nazwiska Darntlej, jednakowoż, dla wszelkiéj formalności, a nawet dla własnego dobra młodzieńca, gdyż może kiedyś odzyska rodziców, którzy go porzucili na gościńcu. radzę państwu, ażeby w akcie ślubnym obok imienia Henryk, położono sześć gwiazdek; tak bowiem było napisane na karteczce uwiązanéj do jego szyi, kiedy go mój ojciec z litości przyjął, w przejeździe przez pewną wioskę we Francji.

— Jakto mości panie! zawoła pan Kinberg, obracając się do Henryka, dopuściłeś się haniebnego podejścia względem mnie, oszukałeś nas niegodnie!... Utrzymywałeś, że należysz do familji Wólseyów, gdy tym czasem nie jesteś niczém więcéj jak podrzutkiem, lokajem milorda! Biedna Karolina, ona o niczém nie wiedziała.

— I owszem mój ojcze, wiedziałam o wszystkiém, zawoła moja przyjaciołka, rozumiejąc, że tém wyznaniem rozbroi gniew pana Kinberg.

— Waćpanna wiedziałaś, byłaś więc w zmowie z tym nikczemnikiem, żeby nadużywszy mojéj łatwowierności, zawrzéć związek niegodny! oddal się natychmiast do twego pokoju, nie poruszą mnie twoje łzy i błagania, powinnaś czuć, że nie ma miejsca żaden stosunek między tobą i lokajem milorda.

Henryk, któremu tak twarde wyrazy przypomniały uczucia jego godności, zbliżył się do pana Kinberg, lecz ten odepchnął go silnie i wyprowadził swoją córkę.

Natenczas odezwałam się po cichu do lorda Artura: trzeba bydź okrutnym, żeby tak niegodnie z moją przyjaciółką postąpić! — Również po cichu odpowiedział:

— Sama tego chciała, wiesz pani o tém najlepiéj.

Pan Kinberg powrócił. Po zmienionych rysach twarzy, domyślano się, że Karolina musiała ojcu czynić odgrażania rozpaczy, jakoż zapewnie tak było, bo pan Kinberg zawołał na Henryka.

— Podły zwodzicielu! twoje niegodziwe podstępy pozbawią ją życia; ale niech raczéj umiera cnoliwą, niżeli żebym ją musiał za życia przeklinać.

Gdyby nie wzgląd na milorda, jużbym cię kazał ludziom moim za drzwi wypchnąć.

Położenie Henryka było okropne; ani słowa nie odrzekł, na zniewagi ojca Karoliny, tylko obracając się do lorda Artura, zawołał:

— Trzebaż żebym wszystko był winien ojcu twojemu! — gdyby nie to, bądź pewny milordzie, że pomściłbym się okrutnie za twoje niepojęte dla mnie postępowanie.... Jesteś zabójcą, lordzie Wolsey; oskarżam cię przed światem jako mordercę; bo ona tego nie przeżyje.

Lord Artur stał zupełnie spokojny i nic niezmieszany.

— Prawdziwie, rzecze z udaném zadziwieniem, nie wiedziałam aby zaszedłszy tak daleko z panem Kinberg, nie był on jeszcze uwiadomionym o adoptacji mojego ojca; trzeba mnie było przestrzedz, byłbym milczał. Pomimo tego jednakże, cóż to ma do tego czy się nazywasz Darntlej, czy poprostu Henryk, byleby ci tylko oddano rękę panny Karoliny?

— Rękę mojéj córki! zawoła pan Kinberg z gniewem; milordzie, propozycja takiego związku jest dla mnie obrazą. Niech twój służący oddali się ztąd i niech nie usiluje widzieć się z moją córką, gdyż inaczéj oddam go w ręce sprawiedli-

wości jako intryganta, który chce się wkręcić do domu, aby zwodzić rodziców, i dybać na posag ich córek.

Lord Artur wyszedł. Co się zaś z Henrykiem stało nie wiem; od tego czasu nie widziano go w Amsterdamie. Biedna Karolina przez sześć miesięcy nikła widocznie, i nakoniec zgasła w mojém objęciu, wymawiając jeszcze imie drogiego jéj kochanka. Słyszałaś zatém pani, co wiem o lordzie Arturze, którego tu każdy pod niebiosa wynosi; osądź sama, czy mogę podzielać wasze uniesienie, i pragnąć z nim spotkania?"

— Jest to historja bardzo zajmująca, odpowie Baronowa; ale ja w niéj nie znajduję milorda tak dalece zbrodniczym: zemścił on się prawda nieco za srogo, lecz miłość wymawia z wszystkiego prawie, i dla tego nie mogę potępiać jego postępowania.

— Jakto, więc miłość ma służyć za wymówkę nawet dla podłości? zawoła Konstancja, wlepiając wzrok zadziwiony w Baronowę.

— Podłości! otóż to wy wszystkie jesteście takie, bo nie macie wyobrażenia co to jest gwałtowna namiętność. Lord Artur kochał i chciał

być kochanym, to naturalnie; a skoro poznał że twoja przyjaciółka przekłada nad niego człowieka bez urodzenia, duma jego musiała się oburzyć, inaczéj nie mogę tego wytłómaczyć. Jeżeli mamy kogo obwiniać, to nie kogo innego, jak tylko młodą osobę, która nie miała serca na swojém miejscu, aby uczuć różnicę między lordem i jego sekretarzem.

— Widzę, że nigdy się nie zrozumiemy; prócz tego, gdybyś pani była świadkiem ostatnich chwil życia Karoliny, spodziewam się że nie takbyś mówiła.

— A czyliż moja luba, lord Artur nie mógł również wiele cierpieć? Czy nie można z pewnością utrzymywać, że zgryzota sumienia przypędziła go tutaj, aby się zagrzebał w jednéj nędznéj wioszczynie. Nie można być synem para angielskiego i nie mieć szlachetnego uczucia. Założyłabym się, że właśnie namiętność jego dla panny Kinberg natchnęła go dobroczynnemi zamiarami, które my teraz uwielbiamy. Dobrze mówiłyśmy, że tu się ukrywa rana miłości.

Nie miała już ochoty Konstancja sprzeczać się dłużéj z Baronową, zwłaszcza, że była zgorszoną jéj pobłażaniem występkom lorda, a wzgardą lu-

dzi jak ona mówiła bez znaczenia, i na tém się ich rozmowa skończyła.

Tymczasem damy zeszły do salonu w ubiorze do przejażdżki, która miała się odbydź konno. Panna Van Helmont na prozby wszystkich, nie mogła się wymówić od towarzyszenia im, tém bardziéj, gdy baronowa oświadczyła na głos, że ord Artur znany jest panie Van Helmont, i że przeto mogą mieć ułatwione prędsze poznanie przedmiotu podziwionego. Z wielką niechęcią pojechała więc Konstancja, postanowiwszy okazywać dobroczyńcy wsi Bussy, tylko oziębłość i wzgardę.

Całe towarzystwo zamkowe pod przewodnictwem Baronowéj Mezerac, wypuściło swoje rumaki w wielkim galopie. Wszystkie damy, oprócz Konstancji, przywdziały wytworny ubior amazoński; jedna panna Van Helmont miała na sobie lekką suknię białą, i mały słomiany kapelusz, podwiązany pod brodą blado-różową wstążką. Ostrożniéjsza od innych, przebiegała ona zwolna po nierównéj drodze, i zostawała zawsze w tyle, dla czego też przywoływano ją często, naśmiewając się z jéj zbytecznéj jakoby bojaźliwości i niezręczności. Konstancja uczuła wreszcie potrzebę zawstydzenia swoich towarzyszek,

natychmiast więc skróciwszy cugli koniowi, i uniosłszy się lekko na siodle, puściła konia pędem strzały. Dopiero to ujrzano jak piękna holenderka w największym galopie, uchyla zręcznie głowę pod konarami drzew, które mijała wymija wszystkich jezdców, przesadza przez rów, nad którym się tamci zatrzymali, i swobodnie daléj kłusuje. Konstancja już raz w rozmowie swojéj z baronową Mezerac, dała jéj poznać, że ma serce zdolne czuć mocno, teraz dowiodła tego czynem, albowiem tam gdzie najmniéjsze potknięcie się śmiercią groziło, ona zdąwała się czynić sobie igrąszkę.

Wszyscy, oprócz pani Mezerac, okrążyli rów; baronowa zaś uniesiona żądzą współzawodnictwa z Konstancją, przesadziła rów, i razem z nią, przed innemi stanęła w Bussy-Saint-Martin. Młodzieniec jakiś pracujący wśród innych robotników, zobaczywszy że koń Konstancji zawikłał się pomiędzy kamieniami i mógł upaść, rzucił szybko motykę i zatrzymał go za cugle. Pann Van Helmont dziękując młodemu robotnikowi, spojrzała na niego, i wydała lekkie wykrzyknienie zadziwienia. Lord Artur, on to bowiem był, zbladł nagle, lecz natychmiast przyłożywszy palec do swoich ust, rzekł cicho: „Pani, ani słówka, bo

będę zgubiony!"— Zachmurzyło się czoło Konstancji, spoglądała ona na lorda Wolsey, lecz w tém spojrzeniu nie malował się bynajmniéj wyraz wzgardy, należący się mordercy jéj najlepszéj przyjaciołki, a drżące jéj usta mruczały: Dziwna rzecz, jednakże nie myślałam aby był nieuczciwym!

Niezadługo nadjechało całe towarzystwo. Każdy nowo przybyły nabawiał lorda Wolsey obawą spotkania znajoméj twarzy. Była to codzienna obawa od czasu, kiedy Bussy St. Martin stało się przedmiotem odwiedzin okolicznych zamków, lecz najbardziéj onę czuł od chwili spotkania Konstancji. Zakładacz nowéj kolonji był obojętnym i roztargnionym, na oddawane sobie pochwały odpowiadał urywanemi słowami i zdawał się być pomięszanym; to jednak nie przeszkadzało, iż damy znalazły go bardzo zajmującym. Na prośbę pani Mezerac, która najusilniéj pragnęła ściągnąć na siebie uwagę Artura, właściciel zamku Torcy, zaprosił go do siebie. Przed daniem odpowiedzi, spojrzał lord na Konstancję, a otrzymawszy nieznaczne skinienie potwierdzające, przyrzekł przyjść w następującą Niedzielę.

Z kapeluszem słomianym w ręku, młody lord pokazywał odwiedzającym miejsca w których się miały wznosić fabryki, i inne zakłady. Mistrz Chevance, który nigdy nie opuścił sposobności popisywania się przed odwiedzającemi z swojemi uwagami, przerywał często mowę Artura, i wykładał jak mógł plany nowego Bussy Wolsey, ażeby przecież zyskać cząstkę pochwał za tak piękne przedsiewzięcie, w którém zdawało mu się że ma niejaki udział.

Po dwugodzinnéj przechadzce, towarzystwo podziękowało lordowi Arturowi za jego grzeczność, ponowiło zaproszenie do zamku, i wsiadło na koń, unosząc z sobą przekonanie, że milord był nietylko zręcznym spekulantem, ale nadto, człowiekiem dobroczynnym, godnym wszelkich pochwał za swoje prace, dążące do uszczęśliwienia gminy. Artur odprowadził gości aż na koniec wsi. I tym razem Konstancja zostawała w tyle, a lord Wolsey pożegnawszy towarzystwo, zbliżył się do niéj i rzekł:

— Nie potępiaj mnie pani, niewysłuchawszy wprzódy, a nadewszystko, przez litość, nie wyjawiaj nic, jeżeli nie chcesz zadać ostatniego ciosu moim cierpieniom.

— Ah! odpowie Konstancja, nie pana spodziewałam się ja tu zostać; i wyznać muszę, że twoje przebywanie tutaj pod tém nazwiskiem, każe mi źle o nim sądzić...

— Tak, przeczuwałem, że pani mię nienawidzisz, a jednak gdybyś chciała mnie posłuchać chwilę, litowałabyś się nademną..... Byłaś pani już raz moją powiernicą w Amsterdamie, chciałażbyś nią być jeszcze teraz? Potrzebuję zwierzyć się komuś, któryby umiał mnie zrozumieć i pojąć tajemnicę serca mojego.

— Gdzież i kiedy możemy się rozmówić?

— Jutro wieczorem, pod podniesionym kamieniem blisko zamku.

— Będę panie Henryku; odpowiedziała Konstancja i wtém przypuściła konia i złączyła się z towarzystwem dążącém do zamku Torcy.

IV.

Polowanie na człowieka.

Chciwa i na obrzydłą ucztę szychająca,
Wrzaskliwa psiarnia ściga trwożnego zająca.

* * *

Pomimo widocznego pomięszania, jakiego doświadczał dobroczynny zakładacz kolonji, z obecności panny Van Helmont, wszystkie damy powróciły do zamku z większém uniesieniem dla młodego cudzoziemca. Szczególniéj pani de Mezerac nie mogła się dosyć wychwalić słodyczy jego głosu, i zachwycającemu jego spójrzeniu.

— Prawdziwie, w téj głowie jest coś poetyckiego, nie potrzeba żeby mi go wskazano, byłabym go od razu poznała, pomimo prostéj odzieży robotnika, pod którą nigdy zupełnie nie może zniknąć szlachetna postawa.

Co się tycze Konstancji, cała zatopiona w dumaniu, czyniła sobie uwagi nad tém niespodzia-

nem spotkaniem. Czy to być może mówiła do siebie, ażeby człowiek którego znałam tak uczciwym, tak godnym szacunku i miłości, mógł się poniżyć aż do intryg i oszukaństwa? czemże usprawiedliwić zdoła swoje kłamstwo? czyliżby cnoty jakie w nim dawniéj uwielbialiśmy, miały być skutkiem wyrachowanéj obłudy, dla podbicia serca Karoliny, i moja biedna przyjaciołka miałaż się stać ofiarę hypokryzji... Ach to nadto okropnie, nie, nie chcę go widzieć.

A potém, wracała wnet do pierwszéj myśli, przypominała sobie że jéj Henryk powiedział: „Niepotępiaj mnie, nie wysłuchawszy," i czuła tajemnie potrzebę szacowania tego, którego może nie bez żalu miała widziéć małżonkiem Karoliny; albowiem czas oświadczyć, że częste widywanie w Amsterdamie młodego sekretarza, natchnęło nieznacznie serce panny Van-Helmont szczęściem, ona upierała się nazywać to prostą przyjaźnią, pomimo tego iż bywały zdarzenia, w których inne wcale nazwisko można było dać tym uczuciom.

Teraz kiedy nam już jest wiadomą ta tajemnica Konstancji, niepowinniśmy się dziwić, że

spotkanie Henryka, pod nazwiskiem i w posiadaniu bogactw, które mu nie należały, sprawić mogło na jéj umyśle przykre wrażenie. Lubiła ona w nim człowieka godnego szacunku i nieszczęśliwego, sama myśl że może jest występnym, rozdzierała jéj serce. To ją naostatek skłoniło do znajdowania się w miejscu umówioném, tém bardziéj, że chciałaby jaknajprędzéj przekonać się, czyli Henryk nie przestał być godnym jéj uczuć.

Nazajutrz godziny zdawały się zbyt wolno upływać dla Konstancji, która skracała sobie czas jak mogła, przechadzką po ogrodzie i dumaniem. Nadszedł wreszcie wieczór; mężczyzni zeszli się do sali bilardowéj, kobiety zaś wzięły się do książek, kart i innych zabaw. Konstancja wyszła z zamku niepostrzeżona, rozpoznała drogę, i niebawem stanęła u kamienia podniesionego, gdzie miała zastać Henryka. Niebyło go; czekała blisko półgodziny, a gdy jeszcze nie nadchodził, pomyślała sobie; „Nie może się usprawiedliwić, i dla tego unika zwierzenia się. Dobrze mawiał pan Kinberg; że tylko uczciwych rodziców dzieci są uczciwemi, z nieprawych związków wyradza się szczep skażony." Henryku! Henry-

ku, któżby mógł pomyśléć, że w tobie kiedyś poznam człowieka nikczemnego!

Gdy tak z sobą rozmawiała, chłopi, których już spotkała idąc do podniesionego kamienia, powracali w toż samo miejsce, a wywijając w powietrzu, motykami, cepami, kosami i innemi rolniczemi narzędziami, wołali:

— Jakto, nie znajdziemy tego łotra! wprowadził nas w biedę, a sam uciekł; trzeba go wszędzie szukać, trzeba go zabić!

— Tak, tak, zabić go, powtarzali inni, i rozsypali się w gęstwinie.

Konstancja, zadrżała, nie zrozumiawszy nawet tych pogróżek. Kogóż to oni ścigają! pomyślała; strach ją niewymowny ogarnął, nie chciała dłużéj czekać, i postąpiła już kilka kroków, gdy druga gromada rzemieślników, tak jak tamci uzbrojonych, okazała się, i przymusiła ją ukryć się znowu.

— On nie może być ztąd daleko; niech no go tylko złapiemy, ubijemy na miejscu. Z takim hultajem nie można łagodnie; bekas, wietrz!.., daléj..

A bekas stanął przed Konstancją, starającą się uniknąć spotkania; krzyknęła przeraźliwie...

— A tuś mi, zawoła cała banda, i jednym skokiem otoczyli na wpół omdlałą dziewczynę, lubo nie miała z nikąd żadnéj nadziei ratunku, będąc oddaloną przynajmniéj o pół mili od miasta zamieszkałego, jednak nie tracąc odwagi, zawołała, dość mocnym głosem:

— Czego chcecie odemnie?

— Patrzną, zawoła jeden z pomiędzy nich, wszak to kokiéta, idź z Bogiem, idź, a jeżeli spotkasz tego którego szukamy, powiedz mu, że ztąd żywym nie wyjdzie, bo wszystkie drogi są dobrze obsadzone. Już od pięciu godzin polujemy na niego, jutro, pojutrze na nowo zaczniemy, i póty go będziemy ścigać, póki nam w ręce nie wpadnie, a wtenczas opatrzemy dzisiejsze rany i siniaki, temi widłami i motykami.

To powiedziawszy odeszli do lasku. Chociaż wieczór był dosyć chłodny, jednak grube krople potu spłynęły po czole Konstancji, szła wciąż nie będąc nawet pewną swéj drogi, bo strach i błędne światło księżyca, co moment ją z tropu zbijało. Po raz drugi wracała do tego samego kamienia podniesionego, aby drogę rozpoznać, gdy nagle obiło się o jéj uszy przeraźliwe wycie kilkuset głosów, z lasu wychodzące. Oparta jedną ręką o kamień

druidów, gdyż nogi pod nią się zachwiały, ujrzała Konstancja zdaleka światełka niknące i znów pokazujące się, głuche szemranie nastąpiło po wściekłym wrzasku, a ciemne obłoki przesuwając się przez tarczę księżyca zaciemniły zupełnie widnokrąg, i tylko kiedy, niekiedy pozwalały jéj widzieć cienie ludzkich postaci, uwijających się w różnych kierunkach. Konstancja drżała z przestrachu, żeby owe postacie do niéj się nie zbliżyły, gdy wtém o kilka kroków od podniesionego kamienia, gęste krzaki rozdzieliły się, i człowiek z twarzą i rękami pokaleczonemi, w sukniach poszarpanych, rzucił się jéj do nóg wołając:

„Ratuj mnie....oni mnie dobiją!...Wody i schronienia, bo zginąłem.“

Dźwięk tego głosu acz słabego, dostał się do głębi duszy Konstancji.....poznała Henryka.

— Nieszczęśliwy! cożeś uczynił że się tak z tobą obchodzą?

— Nic nie mów, oni nadéjdą, zabiją mię; nędzniki! Ale mniejsza o to! mówił po chwili, żadna istota na ziemi nie zajmuje się mną, śmierć moja nikogo nie okryje żałobą, nikomu łzy nie wyciśnie. Trzeba skończyć..... niech raczéj ginę na tym tu właśnie kamieniu, na którym może by lepiéj było gdyby mi pozwolono przed dwudzie-

stą laty skonać, kiedy mię matka litości przechodniów zostawiła:... Uciekaj pani, oszczędź sobie smutnego widoku mojego zgonu; czy nie słyszysz że już nadchodzą? nie trudno im będzie zamordować mnie, jestem znękany trudem i ranami, nie mam już ani siły ani chęci bronić się.‟

Mówiąc to padł na kamień, oczekując godziny śmierci, z mocném postanowieniem nie czynienia żadnego oporu. Panna Van Helmont, miotana gwałtowną bojaźnią, nadstawiała ucha, to znów nachylała się do Henryka, usiłując namówić go aby wstał i za nią poszedł.

— Chodź na miłość boską, chodź ze mną, może mi się uda ocalić ciebie... ja cię tu nie zostawię. Nierozsądny! jeżeli moja obecność nie potrafi cię uratować, czy myślisz, że sama nie skonam z przestrachu! Henryku, zaklinam cię, na to co ci jest najdroższego, pójdź ze mną. Zbrodnią jest poddawać się dobrowolnie pod ciosy zbójców, kiedy ich można uniknąć.

— Zaklinasz mnie na to co mi jest najdroższém! powtórzył słabym głosem raniony; nic mi już na świecie nie miłe, bo mnie wszyscy odpychają, bo nikt mnie nie kocha... Litujesz się nade mną, więcéj nic, litujesz się jak nad każdym

cierpiącym; takiéj litości i psu nieodmawiają...Zostaw mnie tu, mówię; będzie to może chwałą dla mnie, że zginąłem za to, *iż* pragnąłem szczęścia ludzi."

Na powtarzane prożby Konstancji, która go nie chciała opuścić, dał się nareszcie Henryk nakłonić:

„Chcesz tego koniecznie, rzecze, dobrze więc, idę.

Zebrawszy wszystkie siły, powstał i dał się powodować Konstancji, która go zwolna i ostrożnie prowadziła. Po wielu zakrętach i wymijaniach stanęli nareszcie u kraty ogrodowéj pałacu. Konstancja zatrzymała się, a przekonawszy się, że nikt za niemi nie szedł, i od nikogo nie mogli być słyszani, powiedziała: „Nie wiem czyli ten zamek będzie dla ciebie pewném schronieniem, jeżeli się dowiedzą że w nim przyjęty zostałeś. Przede wszystkiém trzeba cię ratować, później wyjawię gospodarzowi domu naszę tajemnicę. Pozwól mi wejść saméj i zaczekaj na mnie, póki niepowrócę donieść ci z tamtéj strony, że można bezpiecznie przeleść przez kratę...Bądź cierpliwym Henryku, a nadewszystko ostrożność, proszę cię, dla siebie samego, dla mnie, bądź ostrożnym." Scisnęła go za rękę i boczną drogą weszła do

zamku, okrążywszy go. W kilka minut panna Van Helmont, która weszła niepostrzeżona od nikogo i spotkała się właśnie z innemi damami wracającemi z wodnéj promenady, zbliżyła się do téj części parku, gdzie Henryk czekał. W obawie, że go może już nie zastanie, cicho i z sercem ściśnioném, zawołała go po imieniu, a słaby głos odpowiedział jéj: „Jestem.“

— Trzeba teraz zebrać wszystkie siły żeby się wdrapać na kratę, ale może temu nie podołasz.

— Sprobuję, odpowie Henryk; od czasu jak zdajesz się mną zajmować, lękam się śmierci.

Z wielką trudnością wydostał się na wierzch kraty, lecz nie mając na czém oprzeć nóg swoich, ciężko mu było utrzymać się na kracie. Konstancja w najokropniéjszym strachu, szukała myślą wszystkich środków pomocy, nagle zabłysnęła jéj nadzieja ratunku. Zbiera naprędce oschłe liście z drzew odpadłe; układa sobie na ramionach, opiera się silnie rękami i czołem o kratę, i każe Henrykowi oprzéć nogi na jéj ramionach. Henryk machinalnie usłuchał téj rady, przelazł wnet przez kratę, i lekko spuścił się

do ogrodu. Tkliwe uściśnienie ręki było wymownem podziękowaniem ocalonego, którego trzeba było jeszcze z wielką ostrożnością przeprowadzić do pokoju, w którym miał się ukryć. Szczęśliwie przebyli i tę przeprawę: Wypocznij tu, o mnie się nie troszcz, miéj tylko staranie o twoich ranach, i bądź przekonanym, że cokolwiek wyniknie, jest jeszcze na świecie istota, która cię nie opuści dopóki będziesz nieszczęśliwy. Obmyła jego rany, opatrzyła jak mogła najlepiéj, a poprawiwszy potém swój ubior, zeszła do salonu, zalecając choremu, spokojność i roztropność. Towarzystwo było już zebrane, i jeden z dzierżawców opowiadał właśnie zdarzenia z Bussy Saint-Martin, w sposób takowy:

Dziś rano przybył do tamtejszego wójta jakiś obcy, i żądał mówić w jego odeczności z lordem Arturem Wolsey, w przedmiocie, jak uprzedzał, tyczącym się projektu ulepszeń Gminy. Dano natychmiat znać milordowi, będącemu na ówczas w szkólce magistra Chevance. Ten ostatni posłyszawszy że obcy zajmuje się także upięknieniem gminy, zawołał: to się i mnie także tycze, porwał tekę z rysunkami i pobiegł natychmiast

do wójta. — Czy wacpan jesteś lord Wolsey? zapytał obcy mierząc przenikliwym wzrokiem magistra.

— Nie, mości panie, jestem jego zastępcą, a pod względem tutejszego zakładu, my obydwa jedno znaczemy.

— A więc go wacpan znasz dobrze?

— Jakże go nie mam znać, odpowie Chevance, kiedy w połowie należę do projektów entreprysy.

— Kiedy tak, rzecze daléj nieznajomy, obracając mowę do Wójta, trzeba zabezpieczyć sobie tego człowieka, albowiem jest to łotr szkodliwy.

Magister powstał gwałtownie na takie oskarżenie, a wójt oniemiał z podziwienia, gdy wtém nadszedł lord Artur. Nieznajomy nie miał potrzeby zadawać mu pytania. Winowajca na jego widok zmięszał się, zbladł i zawołał: Jestem poznany! W saméj istocie nieznajomy nazywał go Henrykiem, i opowiedział wójtowi, że on nie jest lordem, ale jego sekretarzem; że sobie przywłaszczył godność cudzą, żeby zdradzić zaufanie publiczne, i że prawdziwy lord Wolsey nigdy nie uzna zobowiązań jakiegoś awanturnika bez czci i majątku.

Ten który tak nagle obalił dzieło fałszywego lorda, był to Sir Acton, opiekun Artura Wolsey. Przybył z Anglii, z doniesieniem swojemu wychowańcowi, że stary hrabia Wolsey, umierając mianował go exekutorem swojego testamentu. Odgłosem publicznym uwiadomiony o ogromnych pracach, jakie młody lord rozpoczął w małéj wiosce francuzkiéj, Sir Acton starał się powziąść o tém dokładniéjsze wiadomości, które go naprowadziły na domysł, że w czynności téj ukrywać się musiała pod zasłoną nazwiska Wolsey, spekulacja jakiegoś intryganta. Podejrzenia te zmieniły się w rzeczywistość, i dla tego przyjechał do Bussy-Saint-Martin, aby wyjawić fałsz. Henryk znał Sir Actona: widząc że jego tajemnica odkryła się, chciał przemówić dla usprawiedliwienia swego postępowania, ale niebyło już czasu. Dzięki służącéj wójta, wiadomość ta nagle rozniosła się pomiędzy robotnikami. Oszukano nas, wołali jedni; zdrajca, wołali drudzy, i w mgnieniu oka, cały dom wójta napełnił się ludźmi. „Niechaj go nam wydadzą, niech odbierze karę zasłużoną, wołało rozjuszone pospólstwo.“ Ci którzy go przed chwilą uważali za dobroczyńcę, grozili mu teraz śmiercią. Magister Chevance niemniéj był uniesiony zemstą, za

nadużycie jego ufności. „Oto go macie, oto go macie, wrzeszczał, a niewiele już brakowało do krwi rozlewu w domu wójta, gdyby była służąca nie uchyliła tylnych drzwi, któremi się Henryk wymknął. Lecz niezdążyła zamknąć ich za nim, a wieśniacy i rzemieślnicy rzucili się w pogoń za zbiegiem, pomimo przełożeń wójta i prośb Sir Actona, którzy zapewniali, że ręka sprawiedliwości ukarze winowajcę. Nic to wszystko nie pomogło, a rozjątrzone pospólstwo, mając na czele magistra, który w téj chwili zapomniał o swojéj powadze, rozpoczęło srogie polowanie na człowieka z całą wściekłością zgłodniałéj psiarni.

Nim dalsze wypadki opowiem, muszę oddać sprawiedliwość uczonemu magistrowi, i oświadczyć, że tylko kilka kroków towarzyszył ścigającym. Przypomniał on sobie w sam czas doskonałe przepisy roztropności i umiarkowania, których swoim uczniom udzielał. Żal ogarnął jego serce, wstyd mu było okazanéj popędliwości, a powracając do swojéj szkółki powiedział: Niech Bóg ratuje tego biedaka; jeżeli ma koniecznie zginąć, przynajmniéj ktokolwiek rzuci okiem na jego zwłoki, nie będzie mógł powiedziéć: *Magister Chevance, fecit.*

Zaskoczony ze wszystkich stron, Henryk uciekając odbierał częste uderzenia kamieniem, lub jakiém narzędziem rolniczém. Za każdém trafieniem pocisku, ścigający wydawali obrzydły okrzyk radości. Zapomnieli oni, że Henryk, nawet tém samém podejściem, sprawił gminie w kilku dniach więcéj zamożności, niżeliby to kilkoletnia praca uczynić mogła. Zapomnieli wreszcie, że to człowiek, taki jak oni; nie myślel jak tylko o srogiém nasyceniu zemsty, i rozszarpaniu nieszczęśliwéj ofiary. Ścigali go zatém z całą zajadłością, dopóki go tylko widziéć mogli. Zbili się naostatek z tropu, a gdy po pięciogodzinnéj uciążliwéj gonitwie, noc zapadła, rozsypali się na wszystkie strony z mocném postanowieniem, nieprzestania szukać, póki go niez łapią."

Może niezupełnie temi samemi słowami opowiadał dzierżawca, przynajmniéj powieść jego, ledwie co zaczęta w chwili ukazania się w sali panny Van Helmont, opisywała podane tu wyżéj w treści okoliczności. Słuchała ona do samego końca zzgrozą i łzami w oku; bo pomimo natężenia, Konstancja nie była w stanie ukryć mocnego wzruszenia.

V.

Przeszłość.

> Nikt nie wysłowi, jak trudno wdrapać się na szczyt przepaścistéj góry, na którym sława umieściła swoją świątynię. Jednak nie wszyscy do niéj pragną dążyć, a ten który się nie ugania za dymem pochwały, nie zlęknie się niemego zapomnienia.
>
> James Beattie. — Bard.

Dzierżawca skończył swoje opowiadanie, jeden tylko odgłos dał się słyszéć w całém gronie, które przejęte było zgrozą, nie przeciwko tym którzy polowali na Henryka z taką zajadłością, lecz że nie wiedziano, czyli ten nieszczęśliwy znalazł przed niemi schronienie. Żaden głos nie stanął w obronie winowajcy: Konstancja nieśmiała odezwać się, a baronowa Mezerac, która najsilniéj uwielbiała dobroczyńcę Bussy-Saint-Martin, dodawała gorzkie przycinki do uszczypliwych uwag, jakie czyniono nad postępkami nikczemnego jak mówiono sekretarza.

Na takich rozmowach zszedł cały wieczór, a gdy jedenasta godzina wybiła, każdy udał się do siebie na spoczynek. Wtenczas Konstancja nachyliwszy się do ucha gospodarza domu, rzekła: „Proszę na mnie tu zaczekać, mam pilny interes.“ Gdy się już wszyscy oddalili, panna Van Helmont, przekonawszy się wprzódy, że ich nikt nie podsłucha, powróciła do pana Torcy, który czekał na nią z niespokojnością.

Ten pan, zgodnie z drugiemi utrzymywał był, że postępek Henryka zasłużył na całą surowość praw, i że życzyćby należało, aby winny, nie w ręce swoich wrogów, ale policji był oddany iżby surowy wyrok ukarał go za szalbierstwo jakie zamierzył spełnić. Konstancja nie bez zgrozy usłyszała takie zdanie, jedynéj osoby, która mogła jéj dopomódz, w ratowaniu nieszczęśliwego. Jednakże uzbroiła się nadzieją, pomyślawszy o dobrém sercu gospodarza, i wyznała mu wszystko co zaszło tego wieczora, oraz wyjawiła, że dała schronienie ściganemu, prosząc o pomoc i ratunek rannemu. Poruszony prośbami swojéj kuzynki, Pan de Torcy, przyrzekł jéj pomoc w szlachetnym zamiarze.

Ponieważ nie było bezpiecznie zatrzymywać winowajcę w zamku, gdzie bez narażenia jego

wolności, trudno było udzielać mu pomocy jakiéj jego rany potrzebowały, gospodarz zamku kazał założyć konie, pod pozorem spiesznego załatwienia interesu w Paryżu, a potem wszedłszy do pokoju w którym Henryk leżał, rzekł mu: „Bądź pan spokojny, przychodziemy tu dla jego dobra; staraj się tylko zejść na dół jak najciszéj; pojazd mój czeka, pojedziemy razem; tym sposobem będziesz bezpieczny, a przed świtem staniemy u mojego doktora.“

Henryk nie mógł znaleść wyrazów na oświadczenie wdzięczności swoim wybawcom. Konstancja odprowadziła go do samego pojazdu. „W krótce, rzecze jéj Henryk, będę może w stanie prsekonać, że chociaż wprawdzie byłem nieroztropnym, jednak nie stałem się niegodnym waszéj litości.“

W kilka dni po tym wypadku, Konstancja otrzymała smutną wiadomość, że stryi jej złożony ciężką chorobą, wzywa swoją siostrę. Musiała ciotce natychmiast towarzyszyć do Amsterdamu, i wyrzec się otrzymania wyznań jakie jéj Henryk przychiecał. Wyjeżdżając poleciła najgoręcéj, wspaniałości swojego kuzyna, nieszczęśliwego chorego.

Przez przeciąg trzech miesięcy, które upłynęły przed powrotem do Francji pancy Van Helmont, poszukiwania sądowe przeciwko fałszywemu lordowi odbywały się ciągle z żywością, lecz nadaremnie. Zaniechano prace ledwie porozpoczynane w gminie; trybunał unieważnił kupno gruntów i kontrakty z rzemieślnikami; summy zebrane z różnych pożyczek, wróciły do swoich właścicieli, a gmina powróciła do swego pierwszego pana rządcy.

Za swoim powrotem, panna Van Helmont udała się natychmiast do doktora, u którego Henryk przychodził już do zdrowia.

— Już nie miałem nadziei oglądania pani, rzecze jéj tenże z pewnym tonem wymówki, łagodzonéj słodkiém spojrzeniem.

Za całą odpowiedź, Konstancja wskazała na swoją suknię żałobną.

— Wybacz mi, ponowił Henryk, ale cierpiałem wiele w tém odosobnieniu! przykro jest nie wiedzieć, czy o nas ludzie pomyślą. Zapewnie jestem przeklinany! obwiniają mię o podłość; kiedy ja miałem tak szlachetne zamiary, i kiedy mniemałem, że moje dążenia są wspaniałe!... Przynajmiej zaniechano moje dzieło, i

to mnie pociesza... Pozostał mi mój plan, a myśli moich nikt mi nie wydrze, aby je poświęcić nikczemnym spekulacjom pieniężnym!...

— Henryku! przerwała mu Konstancja, obiecałeś mi zwierzyć się ze wszystkich twoich błędów; nie domagam się tego, chociaż czuję potrzebę widzieć w tobie człowieka uczciwego. Nie odkrywaj mi tajemnic twojéj duszy, jeżeli to ma kosztować twoją spokojność; przynajmniéj powiedz mi jakie masz potrzeby. Nie obawiaj się niczego, zawczesny zgon nieodżałowanego krewnego, postawił mnie w możności stania ci się pomocną.

— Ponieważ pani tyle się jeszcze mną zajmować raczysz, że żądasz wiedzieć, co mnie mogło skłonić do kroku, który świat nazywa bezwątpienia zbrodniczym, haniebnym, wyjawię ci zatém cały bieg życia mojego. Opowiem moje udręczenia i dążności, których nikt pojąć nie zdoła, a które jednakże trawią moje serce, napełniają wyobraźnię, i które sprawiły mi wiele dni trwogi, i nocy bezsennych. Wszelako nim mówić zacznę, powinienem w umyśle twoim zniszczyć największą winę, jaką jestem obciążony: to jest przywłaszczenia sobie obcego nazwiska... Nie, nie uczyniłem tego; imie Wolseyów

słusznie mi się należy; społeczeństwo tylko przyznać mi go nie chce. Jestem bratem lorda Artura Wolsey, a nawet bratem starszym!

Konstancja słuchała go z wzruszającém zadziwieniem, a nawet z niejakiém ukontentowaniem; bo widziała coś szlachetnego w spojrzeniu Henryka, który ożywiony nieznanym zapałem, dodał: Tak, jestem synem hrabiego Wolsey! I cóż z tąd, że mi społeczeństwo odmawia szlachetnego pochodzenia, dla tego tylko, żem się z nieprawego łoża urodził! Potrzebaby do ostatniéj kropli wysączyć krew z żył moich, aby potém powiedziéć, że we mnie nie płynie czysta krew Wolseyów!

Panna Van Helmont nie czuła się dość mocną w dysputowaniu, aby mogła zbijać twierdzenie Henryka tak dalece antysocjalne, prócz tego miło jéj było widziéć go mniéj winnym, a przeto nie chciała zgłębiać, do jakiego kresu wolno jest używać nazwiska, którego akt cywilny odmawia.

Henryk tak daléj mówił: Nie znam, téj która mi życie dała. Cokolwiek tylko wiem z powieści hrabiego Wolsey, ogranicza się na tém, że w kilka dni po wydaniu mię na świat, matka moja zostawiła mię na kamieniu podniesionym, niedaleko wioski Bussy-Saint-Martin, a to w skutek umowienia się w téj mierze z moim ojcem,

który wtenczas chciał osiąść we Francji. Miał on niby przejeżdżając przypadkiem znaleść mnie, i jako sierotę przyjąć, i w swoim domu wychować, aby nie ściągnąć podejrzenia hrabiny Wolsey. Układ ten powiodł się zupełni . Miałbym bezwątpienia rozkosz uściskać moją matkę, ale wybuchła wkrótce rewolucja, przymusiła mojego ojca do powrotu do Anglji, ja dopiero po opuszczeniu Hollandji tu przybyłem,

„Artur przyszedł na świat we dwa lata po mnie. Nie mogłem wtenczas czuć krzywdy, jaką mi to urodzenie wyrządzało, powiedziano mi tylko póżniéj, że hrabina Wolsey, która mnie jak prawdziwa matka kochała, zostawila mnie staraniom służących, zajmując się wyłącznie swoim synem.

Pominę wszystko, co w dziecinnym wieku znosić musiałem, od głupiej pychy mojego młodszego brata. Hrabia Wolsey nie mógł wiedzieć, co się u niego w domu działo, oddany bowiem zupełnie polityce, przebywał zawsze z ministrami, na dworze i w parlamencie, a cały zarząd domu spoczywał w ręku hrabiny. Razu pewnego jednak zobaczył mię ojciec płaczącego, gdy niesłusznie poniósłem karę; wziął mnie na kolana, otarł łzy, i

zaczął się gniewać. Hrabina uniosła się także cokolwiek, i oświadczyła, że już zbyt dawno jestem przedmiotem domowéj niezgody, że już jestem dość dorosły, dość silny, i mogę być oddany na naukę jakiego rzemiosła, albo przywdziać liberję domową. To ostatnie oburzyło lorda, wolał zatém oddać mnie do stolarza. W dziewiątym roku, wyglądałem jak gdybym siedmiu nie miał, tak byłem wątłym. Po kilku dniach, musiano mnie odebrać od stolarza, u którego praca przechodząca mocі siły, groziła mi utratą życia. Wróciłem do domu ojca, lecz wstęp do salonu był mi już wzbroniony. Młodzi synowie lordów sąsiednich, którzy przychodzili bawić się z Arturem, przypuszczali mnie także do swoich zabaw, ale tylko na to, aby moje plecy służyć im mogły za cel ich ćwiczeń i zabawek. Odepchnięty, wzgardzony, uciekłem się do nauk, aby tym sposobem zasłużyć na pochwały. Czyniłem postępy olbrzymie, lecz i na to z razu nie uważano bynajmniéj. Spostrzeżono się jednak w końcu, i kiedy trzeba było Artura posłać na naukę do uniwersytetu, natenczas lord Wolsey, który sam jeden tylko z zajęciem uważał moją pilność w naukach, dał mię Arturowi za towarzysza, za-

lecając mu, aby mnie uważał za równego sobie.

„Jakiż był pobyt mój w uniwersytecie! nigdy nie słyszałem się nazywanym inaczéj jak *podrzutek*, dumni synowie najpierwszych w Anglji familji, wmawiali we mnie tylko ustawicznie, że urodzenie tylko prowadzi do znaczenia, a nigdy zasługa. Wpośród więc takich udręczeń, czerpałem żądzę dojścia do sławy. Wyobrażałem sobie jak pięknie być musi pokonać los i na przekorę przeznaczeniu, wynieść się nawet nad owych szlachetnych potomków. Zaślepiłem się do tego stopnia, że mniemałem, iż ich zmuszę do oddania zasłużonéj sprawiedliwości moim usiłowaniom. Pełen takiego wyobrażenia, postanowiłem przewyższyć moich pysznych towarzyszy w szacunku publicznym. Zacząłem nowe życie od chwili, kiedy mogłem sobie powiedzieć: „Przyszłość moja, dziełem będzie mojém.“—już nie cierpiałem, ufałem sobie, a nadzieja przyszłéj sławy, goiła przebyte dolegliwości. Oh! nie każdy to łatwo pojmie, co sława zawierać w sobie może; jest ona rzeczywistą roskoszą, celem widocznie wzmagającym się, ożywiającym, wtenczas kiedy na nią prawdziwie zasłużyć pragniemy,

kiedy uczucie wewnętrzne powiada nam: że jesteśmy także stworzeniami myślącemi, a myśl rządzi światem.

Henryk mówił w sposobie tak przekonywającym, że Konstancja słuchała go z zachwyceniem. Ah! domyślam się teraz, zawołała, przyczyny tak częstego zamyślania się twojego, któréj Karolina dociec nie mogła.

— Wtenczas, odpowiedział Henryk, pozostała we mnie tylko pamiątka, a może i żal po straconéj nadziei; albowiem wtenczas, wyrzekłem się już żądzy sławy. Miałem drogę zamkniętą, i zacząłem był już wierzyć, że niepodobna mi dosięgnąć zamierzonego celu, i że trudna z losem walka. Z utratą jedynéj kobiéty, która mnie zdawała się kochać, i może dla tego właśnie kochała, iż nieznała mojéj ambicji, mojéj słabości; otworzyło się dla mnie na nowo pole udręczenia; zapragnąłem znowu sławy. Lecz nie czas jeszcze o tém mówić, a może lepiéjby było wcale o tém nie wspominać: człowiek ambitny nie mógłby wzbudzić wielkiéj litości.

— Szlachetna ambicja, jaką jest twoja Henryku, godna jest szacunku, i chociażby ten, który nią jest owładnięty, upadł przed dopnierzeniem celu, niemniéj będzie w moich oczach go-

dnym politowania i żalu, a może i uwielbienia; bo i nieszczęście jest czasem sławą.

— Doprawdy? czy tak mniemasz? przerwie Henryk, biorąc Konstancję za rękę, a więc zrozumiałaś, pojęłaś mnie! Nie naśmiewasz się ze mnie, gdy o mojéj przyszłości mówię. W nagrodę moich trosków, niczego więcéj nie pragnąłem, jak tylko żeby mnie ktokolwiek zrozumiał i wierzył; tyś mnę pojęła, ty!.....O już nie jestem nieszczęśliwy, otóż pierwszy szczebel mojéj sławy, do którego dawno wzdycham. Moje zaufanie w sobie samym, znalazło w twojém sercu echo współczucia, cierpienia, trudy, mozoły, wszystko teraz mogę znosić, ponieważ jest ktoś w świecie który mnie pojmuje!"

Konstancja mocno była wzruszoną, widząc łzy radości i wdzięczności na licach uniesionego Henryka. „Szlachetny i dobry młodzieńcze, mówiła, będę tobie wsparciem, a jeżeli pomoc kobiéty, może mieć jaki wpływ na twoją odwagę, licz na mnie....Henryku, licz zawsze na mnie."

Po kilku chwilach odetchnięcia, Henryk daléj prowadził swoje opowiadanie, które dość będzie w treści tu opisać:

Skończywszy uniwersytet, został adwokatem. Pierwsze zaraz wystąpienie w tym zawodzie, ro-

kowało mu piękną przyszłość, ale niecierpliwie dążąc do imienia, obraził możnego przeciwnika, a ten póty intrygował, że go nakoniec wymazano z listy adwokatów. Obruszony taką niesprawiedliwością, Henryk porzucił kratki sądowe i chwycił się wojskowości. Pomimo protekcji hrabiego Wolsey, ujrzał się znowu celem pogardy młodych oficerów wyższego urodzenia, którzy nie chcieli z nim przestawać. Znieważono go publicznie kiedy chciał należéć do uczty kolegów z czego nastąpił pojedynek, w skutek którego musiał uciekać na ląd stały. Wyjechał razem z lordem Arturem, który właśnie zabierał się do wielkiéj podróży, mającéj być, według mniemania Anglików, dopełnieniem edukacji. Hrabina Wolsey nie żyła już, a dumny Artur uparł się koniecznie, nie uważać Henryka jak tylko za swojego służącego. Natenczas stary hrabia, żegnając się z niemi, tak mówił obracając się do Artura: Ponieważ trzeba, aby ojciec chociażby się miał rumienić, usprawiedliwił przed swoim dziedzicem czułość dla obcego, powinieneś wiedziéć, że wolą jest moją aby Henryk był od ciebie uważany jako brat; trwać w nieznośnéj

twojéj dumie, zakazuję, pod zagrożeniem ojcowskiego gniewu. Nie rozumiéj żeby Henryk był żebrakiém; on jest twoim krewnym, rozumiesz? krewnym któremu się należy szacunek, jeżeli nie możesz już czuć dla niego przyjaźni. Dopóki twoja godna matka żyła, musiałem się taić, i bez szemrania cierpiéć przykrości jakie młodzieniec ten ponosił, ale przed moim synem, mogę się wynurzyć, tak mniemam, a jeżeli jego serce zdolne jest do uczucia wspaniałego, pojmie co jest winien temu, który jest także moim synem... masz bowiem wiedziéć że Henryk nim jest; a chociaż nie mogę go publicznie adoptować, przynajmniéj moje ojcowskie serce zawsze go uznawało synem.

Wielkiém było zadziwienie Artura; nierównie większém, Henryka, lecz tu przyłączyła się radość niewymowna, gdy się raptownie ujrzał członkiem familji Wolseyów. Hrabia dodał jeszcze z najżywszém wzruszeniem: Nie będę wam powtarzał wszystkich moich trosków, widząc waszą niejedność i niesprawiedliwą niechęć hrabiny ku temu dziecku które rzetelnie kochałem tak dobrze jak i ciebie Arturze. Pojmiesz zapewne z jaką goryczą znosić musiałem zniewagi czynione

Henrykowi. Całą moją nadzieją, najgorętszém życzeniem duszy mojéj, było widziéć was złączonych braterską przyjaźnią; mówiłem sobie: Artur będzie opiekunem swojego brata, a Henryk swojemi talentami i cnotami usprawiedliwi tę opiekę mojego prawego syna! Los niedopuścił tego; poznałem, że skryte drogi niebios, o których nam prawią, głos krwi, są tylko czczemi słowami, i że potrzeba wszystko wyznać. Teraz, mój synu, rzecze daléj hrabia, spoglądając na Artura w sposobie proszącym, czyliż odmówisz dobrotliwéj opieki temu który także jest moim synem?

Artur, mimo nieprzezwyciężonéj dumy, niemiał złego serca; zmiękczony, podał rękę Henrykowi. „Przebacz, rzecze ściskając go, przebacz mi bracie, i bądź pewnym mojéj przyjaźni.

Hrabia uściskał z czułością obudwóch synów, i opowiedział im wszystko co miało związek z urodzeniem Henryka. Nie utracisz nic Arturze, tak kończył, z twojego dziedzictwa; jako syn prawy otrzymasz cały mój majątek. Poruczam tylko twojéj wspaniałomyślności zapewnienie losu twego brata Henryka. Ty zaś niepotrzebujesz już szukać szczęścia w wywyższeniu, jakiego ci

pycha ludzka odmawia; dopóki serce Artura będzie ci sprzyjać, nie masz nic do życzenia. Bądź dla niego zawsze łagodnym, niech cię moje wyznanie próżnością nie zaślepia. Henryku, napróżnobyś usiłował dopomi nać się praw urodzenia; porządek towarzyski nigdy na to nie pozwoli, a ja sam powiedziałbym: „Stałeś się niegodnym mojéj czułości, skoro nie umiałeś szanować tajemnicy ojca.“

Henryk przyrzekł, że uległością chęciom hrabiego, i przychylnością dla Artura, będzie umiał zasłużyć sobie na ich opiekę. Ułożono się, że Henryk przyjmie nazwisko jednéj z posiadłości hrabiego, i będzie podróżował jako sekretarz Artura. Przez czas niejaki, młody lord okazywał wiele przyjaźni dla swego brata, a ten, uszczęśliwiony pewnością, że nie jest bez imienia, nie doświadczał już żądzy sławy, którą w nim wzgarda ludzka zapaliła. W takiém usposobieniu nawiedziła go miłość, i od tego momentu Henryk zaczął upatrywać szczęśliwość w pożyciu małżeńskiém, szczęśliwość którą dawniéj mniemał znaleść tylko w sławie. Na nieszczęście, Artur był jego rywalem, i już wiadomo nam jak się zemścił nad bratem, którego Karolina przeniosła nad niego.

Przez uszanowanie dla hrabiego, Henryk zamilczał swoje urodzenie; ale postanowienie zrobienia sobie imienia, obudziło się w jego sercu z całą gwałtownością. Rozłączył się z Arturem, i przybył do Francyi, otrzymawszy wprzód z Anglji swoją schedę. Przekonany, że powierzchowność wszystko stanowi, zaczął żyć na wielką stopę, a tymczasem pracował z całém wysileniem nad dziełem, o którém już od dawna marzył. Dzieło wydrukowano, i nikt o niém nie mówił, gdyż znikło pomiędzy wielu innemi uświęconemi wziętością ustaloną autorów. Przekonał się, że nie tą drogą dojdzie do sławy. Henryk robił częste wycieczki z Paryża; w jednéj z nich przybył raz do Lagny. Znamy już jego plany wykładane w szkółce magistra Chevance. Nazwisko Bussy-Saint-Martin przypominało mu miejsce, na którém został znaleziony przez hrabiego Wolsey. Zdawało mu się pięknie i godnie jego serca, a nawet szczytnie, zapewnić sobie sławę, na dobrém powodzeniu téj okolicy, która była świadkiem najpierwszéj jego nędzy; pró tego nie mogło być występkiem, pragnienie zn czenia kosztem dobroczynności.

Henryk miał zamiar, zbliżenia się do kupca, który wzgardził zięciem bez imienia, a który za

pewne pysznić się będzie, że może oddać córkę zakładaczowi, twórcy nowéj osady. W ciągu roku Karolina umarła. Henryk dowiedział się o tém, jednak swojego zamiaru nie zaniechał. Imie którego użył, otworzyło mu wszędzie wstęp, i ułatwiało nabycie kapitałów i robotnika. Nie podła spekulacya uwodziła go, chciał on tylko, jak niegdyś Śty Wincenty à Paulo, wznieść pomnik korzystny dla innych, z któregoby dla siebie jedynie niewygasłą pamięć zabezpieczył, któraby jego imie złączyć mogła z wdzięcznością publiczną.

— „Teraz osądź mnie, rzecze do Konstancji, która go słuchała z nieprzerwaną uwagą, powiedz, czy dopuściłem się shańbienia, czy zasłużyłem na prześladowanie tych których żywiłem, i których szczęścia pragnąłem....Niech mówią co chcą, ja nie jestem oszustem, ani intrygantem. Czuję w sobie szlachetne, wielkie pomysły, serce moje pełne jest żądnéj sławy, a czego mi dziś odmawiają, innemi środkami późniéj dopnę; ja nie zginę nieznany. Konstancjo, jest to walka ze społeczeństwem, wyjdę z niéj zwycięzcą, nie wątpiéj o tém: zostawię po sobie pamięć.

— Tak jest, odpowie Konstancja, ufam w twoję przyszłość, ale sława do któréj dążyć chcesz, niech będzie dziełem tego, co pociesza w wszelkich strapieniach, dziełem sztuk pięknych, przyjacielu. Nie wymagają one ani wielkiego majątku, ani znakomitego rodu, aby udzielić sławy. Nauka, praca i jeniusz, oto wszystko czego potrzeba.— Niegdyś, mawiałeś z zapałem o obrazach i posągach, a nawet pokazywałeś próbki, w których przebijało się coś więcéj jak gust. Odważ się Henryku, a przy twojéj szlachetnéj żądzy, ręczę ci za dobry skutek. Mam nieco majątku, rozrządzaj nim; niepowinieneś wstydzić się przyjąć mojéj ofiary, a mnie miło będzie jeżeli w części przyłożę się do twojego szczęścia, do twojéj wziętości.

Henryk z czułém wylaniem serca podziękował jéj za wskazanie sobie prawdziwéj drogi do sławy. Dusza jego ognista, chwyciła się z zapałem téj rady. „Chcesz tego, zawoła, dobrze, zostanę artystą, utworzę nową szkołę, albo się na śmierć zapracuję... Ale, dodał, nie jestem ja tu więźniem? czy mogę się na świat pokazać? może mię jeszcze szukają, a może nawet jestem osądzony?

Konstancja zaspokoiła go, że ci którzy się sądzili poszkodowanemi, cofnęli skargę, koszta procesu są zaspokojone, i wszystko już zostało załatwione. Jesteś wolnym Henryku. Gdybym się była dziś nie znalazła godnym mojego zajęcia, byłabym natychmiast, powróciła do Hollandji, i nigdybyś się nie dowiedział, z czyjéj ręki pomoc otrzymałeś. Lecz kiedy teraz pojęłam twoje zamiary, kiedy znam twoją niedolę, sądzę się szczęśliwą że ci mogę wyjawić moje zabiegi, niech one nie obrażają twojej duszy; jest to pierwszy hołd oddany twojéj przyszłéj wziętości, w któréj i ja także może znajdę udział.

Podobnemi rozmowami, Konstancja wydała się z swojemi uczuciami dla Henryka. Patrzał on długo na nią z zadziwieniem i czułością „Niejestem już, mówiąc, nieszczęśliwym szaleńcem.“

Okrywał pocałowaniami rękę, któréj mu Konstancja niebroniła, i przysięgał, że już nie przez zemstę dla świata, lecz dla stania się godnym miłości panny Van Helmont, pragnął szukać imienia na drodze sztuk pięknych.

W miesiąc po tém, Henryk pracował u jednego z najsławniéjszych rzeźbiarzy.

VI.

Po ośmiu latach nauki.

Jakie piękne marzenie, lecz to sen.

Lamartine.

Wierzyciele Henryka, a nawet i ci którzy się niemi mienili, uwiadomieni o skwapliwości z jaką panna Van Helmont zaspokajała pretensje tyczące się przedsiębierstwa nowego Bussy, cisnęli się do niéj, a pretensje ich uszczupliły znacznie majątek téj dobroczynnéj panienki. Henryk nic nie wiedział, ani o tych ofiarach, ani o innych daleko większych, tak był zupełnie oddany nowéj nauce. Krewni Konstancji, naprożno przedstawiali jéj niedorzeczność związków z Henrykiem, i nakłaniali do powrotu spiesznego, mówiąc że on ją do nędzy przyprowadzi. Panna Van Helmont stale odmawiała. Jego wziętość, mówiła, stanie mi za majątek. Familja

wyrzekła się uporczywéj, a ona tém się pocieszała, że czułość Henryka nadgrodzi jéj utratę familji.

Pomimo tego, Konstancja nie przestała bywać czasem u dawnych znajomych. Pewnego dnia gdy przyszła do baronowéj Mezerac na obiad, ta ostatnia przywitała ją temi słowy: „Cieszę się bardzo że cię widzę, moja luba; oczerniono cię, żeś się zapomniała do tego stopnia, żeś zerwała z familją i zaszłaś w stosunki z owym sekretarczykiem, którego to kiedyś przypadkiem w Torcy poznałyśmy... Broniłam cię jak mogłam, teraz obecność twoja u mnie zamknie usta oszczercom; bo kobieta któraby się czegoś podobnego dopuściła, nieśmiałaby bezwątpienia pokazać się w towarzystwie.“

Konstancja znalazła się w konieczności, wyrzec się Henryka, lub dozwolić szarpać swoją sławę. Miłość i tym razem przemogła, odpowiedziała więc pani Mezerac, że nie było w jéj mocy przymuszać wszystkich do ręczenia za jéj niewinność jednakże ponieważ Pani Mezerac takie ma dzisiaj uszanowanie dla opinji publicznéj, przeto ona drugi raz nie będzie się więcéj naprzykrzać swoją obecnością. I tem ją pożegnała.

W miarę powiększania się postępów Henryka w snycerstwie, Konstancja czuła do niego coraz większe przywiązanie. Czuła niewymowną rozkosz, dzieląc radość Henryka za otrzymane od nauczyciela pochwały, a gdy tenże powracał od pracy z czołem zachmurzoném, natychmiast słodziła jego troski swoją łagodnością. Tym sposobem zbliżyła się epoka wystawy na widok publiczny pierwszego dzieła młodego artysty. Ten dzień, powtarzali, będzie dniem podwójnego szczęścia, ponieważ będzie dniem naszych zaślubin.

Po trzechletniéj pracy, Henryk podał się do konkursu o wielką nadgrodę Rzymską. Sędziowie wystawy, przyznając mu wiele talentu i pomysłu, nadali mu pierwszy stopień przyjęcia. Nie spodziewał on się i tego nawet; dłuto jego więzione akademicznemi prawidłami, nie mogło się wzbić do wysokości jego wyobraźni a z tego wahania się, między uszanowaniem dla starożytnych wzorów, a niepohamowaną niespokojnością o swoją przyszłość, powstało dzieło, które on sam surowiéj krytykował iak jego mistrze i współzawodnicy.

Po skończonéj nauce, odetchnął Henryk, ciesząc się że teraz już czas nadszedł pracowania

na własną sławę. Odłączył się zupełnie od świata, i przez dwa lata, wyznaczone na wykończenie arcy-dzieła dla wystawy, oddalił się zupełnie od zgiełku światowego, i cały czas przepędzał w pracowni. Wieczorami tylko używał z Konstancją przechadzki, a wtenczas myślał tylko o dziele, które miało jego wziętość ustalić. Pomimo wielkiéj zażyłości, między kochankami, wyznać należy, iż nic takiego między niemi nie zaszło, coby ich w oczach świata poniżyć mogło, prócz tego życie ich nie było pospolite, ich wyobraźnia wygórowana, dawała im naprzód kosztować nieocenioną pociechę przyszłéj sławy nie wygasłéj; a takie istoty, nie ulegają surowemu sądowi opinji publicznéj, pod którego płaszczykiem, nie jeden moralista, umie ukrywać własne zboczenia w przystojności.

Nareszcie statua umieszczoną została w Muzeum, pomiędzy innemi, mającemi składać wystawę publiczną. Przedmiot jaki obrał Henryk, był zdolnym zapalić wyobraźnię poetycką. Był to Kamoens, wpół nagi, którego bałwany morskie oszczędziły wraz z jego Luzjadą, którą w ręku trzymał. Spod skały na którą się wspina, oblany jest wodą. Muskuły jego wyprężone, świadczą o jego wysileniu i ciężkiéj walce z żywiołami. W spoj-

rzeniu cierpiącém, przebija się jakowaś duma, gdy patrzy na swoje dzieło do góry wzniesione. Usta jego zdają się wymawiać, to co niegdyś Henryk o sobie powiadał: „Przynajmniéj imie moje nie zaginie.“

Zjawienie się tego dzieła, sprawiło wielkie poruszenie między artystami, którzy przebiegali sale przed otwarciem wystawy. Jakże słodkim był dla Henryka, chciwego, spragnionego pochwał, ten szmer pochlebny! Zyskać potwierdzenie od rywalów, znaczy wiele, lecz to dla niego za mało, nie chciałby uronić żadnéj pochwały, i dlatego skoro tylko nacisk ludzi zaczął się tłoczyć do sal, stanął za swoim posągiem, i oczekiwał z biciem serca, na okrzyki zadziwienia i pochwał.

Najprzód do obrazów skierował się cały tłum; tłoczono się, „Do malowideł, wołali ciekawi, będziemy mieli dosyć czasu na oglądanie posągów. Sale posągów bywają zwykle dopiero w tenczas oglądane, kiedy dozorcy muzeum, zaczynają odwiedzających wypraszać; czasem zabłąka się tam jaki cudzoziemiec, jakie umówione rendez-vou lub też jaki z owych mniemanych znawców. Taka skwapliwość dla malowideł, a z drugiéj strony niejaka oziębłość dla posągów, jest według mego zdania poniekąd sprawiedliwa. Dzieło ma-

jące przetrwać wieki, od przyszłości domagać się powinno swojéj nadgrody; z malowidłem zaś przeciwnie, gdyż niedługo czasem potrzeba, aby kolory spełzły i płótno się podarło. Tylko z powieści znamy Apellesa, gdy tymczasem wnuki nasze podziwiać jeszcze będą Praxytela.

Henryk tedy stojąc za swoim posągiem, z utęsknieniem czatował na pochwały, które miały ulżyć jego piersi; już zaczęły do niego przystępować wszelkie męczarnie zawstydzenia, albowiem szybko mijano Kamoensa, nikt nie wyrzekł: „to piękne“ a byli nawet tacy, którzy się pytali biednego artysty, gdzie są sale malowideł. Jedna tylko Konstancja znajdowała się przy nim, chcąc dzielić radość swego kochanka i napawać się pochwałami jakie miał otrzymać. Mieszała się ona pomiędzy widzów przechodzących, i podsłuchiwała ich, a potém wracała do Henryka, i cieszyła go niewinném kłamstwem, mówiąc że chwalono Kamoensa. Tymczasem sala posągów zaczęła się nieznacznie napełniać. „Oddal się, rzecze Henryk do niéj, udawaj że mnie nie znasz, wmięszaj się między ludzi, i słuchaj dobrze co będą mówili.“ Sam zaś usadowił się obok swego dzieła, widząc szereg gości zbliżający się nareszcie do niego.

— Nadeszli, spojrzeli na Kamoensa, i jakiś głos dał się słyszéć: „Wiesz co, że to jest niegodziwie!“

Henryk zbladł, usta zadrżały, jak gdyby chciały powiedziéć: „nie przyjmuję cię za sędziego.“

Zbliżyli się inni, obejrzeli posąg i mówili między sobą: „Czy widziałeś kiedy co szkaradniéjszego“ Serce biednego Henryka biło gwałtownie, bliskim był utracenia zmysłów, a męczarnie jego dopiero się zaczynały. Tysiące ludzi przesunęło się około jego posągu, każdy nań spojrzał, i każdy powyższe zdania powtarzał: „To szaleństwo mówiono, nie było jeszcze przykładu takiéj obrzydliwości, a ten co się jéj dopuścił, zasługuje więcéj jak na śmierć.“— Henryk w obłąkaniu, ledwie mógł się wstrzymać od kroku rozpacznego, rzucenia się w tłum i zawołania: „Ja jestem autorem tego dzieła, zabijcie mię natychmiast, bo niepodobna dłużéj znosić takich katuszy.“ Lecz nagle wstrzymał się usłyszawszy kogoś mówiącego: „Jaki przerażający dla matki widok dwojga zamordowanych dzieci.“

— Czy ich wśród dnia zamordował?

— Nieinaczéj, właśnie ki dy biedne dzieci używały przechadzki w lasku Vincennes.

— Czy przytrzymano zbrodniarza?

— Przytrzymano, przyznał się do wszystkiego; on nawet nie znał dzieci.

— A więc tylko żądza krwi spowodowala go do popełnienia podwójnego zabójstwa?

— Tak się domyślają... Takie zapewne było przeznaczenie.

— Jakże się zowie ten zbrodniarz?

— Nazywa się *Papavoine*!"

Na te słowa, Henryk, który przypomniał sobie że zrana jeszcze słyszał to nazwisko, oburzył się widząc, że pospólstwo, w którego ręku sława i wziętość artystów spoczywała, więcéj się zajmuje nędzném morderstwem, jak arcy-dziełami kunsztu.

— Trzebaż więc być potworem, aby uczynić głośném swoje imie! Społeczeństwo nie dba o to co jest szczytném; ma tylko to w pamięci co jest przerażającem.

Tłum ludzi przerzedził się, nie było już nikogo w sali, tylko Konstancja zbliżyła się do kochanka swojego, który się nie posiadał z gniewu. „A co, słyszałaś? nie mówią o mnie, morderstwo świeżo spełnione zajmuje ich wyłącznie.

— To tylko dzisiaj... jutro oddadzą tobie należne pochwały.

— Jutro, przerwie, jutro pożar, samobójstwo, lub inna jaka zbrodnia będzie ich zajmować, a moje dzieło zostanie nieznane; dla tego że ludzie są głupi. Napróżno siliłem się żeby zarobić na sławę. Innym sposobem należy przymusić świat żeby o mnie mówił. Nie chcę więcej pochwał, a co się tycze mojego dzieła, nie wystawię go na tę hańbę, aby miało być sądzone przez tych, którzy się na niém dzisiaj niepoznali. Odbieram go potomności, to mówiąc porwał młot blisko leżący, i mimo przeszkody Konstancji, zgruchotał posąg.

Na ten hałas przybiegli dozorcy: „To moja własność, krzyczał Henryk, mam prawo go zniszczyć!

Zapewne, w swojéj pracowni, ale nie tu; podłoga się zawala, a prócz tego odłamki mogą uszkodzić inne przedmioty.

Wyprowadzono go z Muzeum.

Ani pociecha, ani tkliwe pieszczoty Konstancji, nie mogły uspokoić zapalonéj Henryka głowy, w któréj się czarne myśli snuły.

Wkrótce *Papavoine* był tracony, a Henryk poszedł przypatrzyć się temu, który nie wiedząc, wydarł mu sławę. Pospólstwo cisnęło się, każdy chciał być najbliżéj rusztowania, okna wszystkie były pełne ludzi. Henryk zazdrościł delikwentowi. „Jego pamięć będzie przeklinaną, ale dla tego nieprędko o nim ludzie zapomną.“

Z temi myślami wrócił Henryk do domu. Konstancja spała. Kilka chwil spoglądał na jedyny przedmiot swojéj miłości; ona to poświęciwszy dla niego wszystko, nie miała już nic więcéj do dania, jak życie. Gdybym ją zabił, pomyślał sobie; nie odmówionoby mi nazwiska potworu, alebym po sobie imie zostawił; a potém, gdy opowiem sędziom wszystkie dobrodziejstwa jakie od niéj doznałem, że wszystko byłem winien jéj miłości, że mnie od haniebnéj śmierci wyzwoliła, że dla mnie straciła cały majątek, przywiązanie familji, i szacunek u świata, dopiero to będą cisnąć się w dzień mego tracenia, dopiero to będą skwapliwie chwytać każde moje słówko, a pamiątka mego istnienia na ziemi, będzie uwiecznioną.

Gorączka okropna trawiła go w ten moment, postąpił bliżéj do łóżka, lecz się wnet odwrócił. Uciekajmy od niéj, bo czuję że ta myśl

powróci znowu, a podobna zbrodnia, jeszcze nie jest dosyć znakomitą dla mnie; tysiące morderstw wydarza się, mnie trzeba coś większego jeszcze.

Nazajutrz przyniesiono Konstancji list, w którym Henryk oznajmując jéj o powodach swego oddalenia, i o zbrodniczym zamiarze który go wczoraj opanował, tak kończył:

„Żegnam cię Konstancjo, gdyby śmierć twoja zaspokoiła moją żądzę sławy, nie wachałbym się ani minuty, dlatego nie żałuj mnie, nie płacz. Prędzéj czy późniéj musielibyśmy się rozłączyć. Pozostawiam ci życie i żal żeś mię kochała, co do mnie, choć czuję zgryzotę sumienia za moją niewdzięczność, unoszę obok tego trawiącą żądzę nabycia imienia, za jaką bądź cenę. Niezobaczysz mię więcéj Konstancjo, lecz niezadługo będziesz o mnie słyszała.

List ten przeraził do żywego Konstancją, i był dostatecznym do stłumienia w jéj sercu miłości, dla któréj wszystko poświęciła. Litowała się tylko nad nieszczęśliwym, który zagrażał światu zbrodnią, i o którym więcéj już nie słyszała.

Powiadają, że w roku 1825, młody jakiś człowiek, z wzrokiem obłąkanym, włosami roztarga-

nemi i w sukniach poszarpanych, przebiegał po dymiącém jeszcze pogorzelisku miasta Salins, wrzeszcząc przeraźliwie: «To ja podpaliłem miasto!...bierzcie mnie, bierzcie, jestem podpalacz! «

Wzięto go w saméj rzeczy, i osadzono w szpitalu, który jeden ocalał od pogorzeli.

Kto był ten szaleniec? nigdy się o tém niedowiedziano. Nikt go w okolicy nie znał, a obłąkanie jego było tak wielkie, że nigdy nie można się było od niego dowiedzieć o jego nazwisku.

WIARA.

Gdy człowiek ziemi przejrzał głębiny,
 Po nad gęstym chmur obłokiem,
 Niebieskie krainy,
 Smiertelném policzył okiem...
Strasznym piorunom harde stawia czoło,

W ognistem słońcu wzrok zatapia śmiały...
Silnemi nęcon zapały,
Waży powietrze, mierzy ziemskie koło;
A nad znikome wznosząc się obszary,
Buja w marzeniach po przyszłości niwie,
Wszystko to, zgłębił szczęśliwie,
Jednéjże nie zgłębi wiary?..

Rozkaż, niechaj słońce zgaśnie,
Wszystkim żywiołom dumnie wydaj wojnę,
W pieniące nurty zmień morza spokojne,
Rozkaż, niechaj wiatr nie dmucha,
I piekielny uragan w głębi pieczar zaśnie;
Wszystko to może ciebie usłucha,
Lecz co Bóg nie odkrył tobie,
Co zatail przed światem, a zamknął sam w sobie,
Próżne zapały,
Zgłębić to, zbyt jesteś mały.

Im bardziéj rozum twój w marzeniach tonie,
Wznosisz się po nad kraj ziemny,
Bujasz, gdzieś, Bóg wie, po nieznanéj stronie,
Czujesz twéj duszy nadludzkie natchnienia;
Myślisz....dociekasz....znikają marzenia,
I im więcéj dumałeś, tém' eś więcéj ciemny,

A przecie byli...któż to byli?... płazy,
Którzy nad zakreślone rozumu granice,
Wznosząc się, śmieli boskie zgłębiać tajemnice,
I przystrajać marzenie w prawdziwe obrazy.
Lub po dumaniu, rozmyślaniu mnogiém,
W szaleństwie rzekli, precz z wiarą, precz z Bogiem.

Nieszczęśni! lepiéj ja w serca prostocie,
Podnoszę oczy w niebo, ręce składam,
Czcząc Boga, winny hołd przysięgam cnocie,
A na skrzydłach wiary,
Wznoszę cię aż w niebiosa, z samym Bogiem
(gadam.
I niech piekielne poczwary,
Ziemię zgruchoczą od osi do osi,
Niechaj potworna furja z piekła jad wyzionie,
Hukną pioruny, wzburzą morskie wały,
Straszliwa trąba zniszczenie ogłosi.
W posadach zadrzą i góry i skały,
Struchleje serce w śmiertelnika łonie,
Klęka i ręce do nieba podnosi.
A serce z Bogiem rozmowę tajemną
Toczącą, powiada,

Nie lękam się, nie trwożę, bezbożnikom biada,
Lecz ja bezpieczny, Bóg ze mną.

. . . .

Cicho! spokojnie!.. słońce już się skryło,
Ptak miło nuci, z lekka szemrze woda,
W sercu tak lubo, spokojnie i miło,
Ale czyż długo potrwa ta pogoda?
Nim słońce, w kroplach rosy twarz obmyje,
Powstanie straszna burza, wiatr groźny zawyje,
Niebo okrywa noc blada,
Z ładownéj chmury,
Piorun wypada.
Ugodził w serce i człek stracił życie,
Wzrok jego dziki, okrutny, ponury,
Jad namiętności w serce piekło wléwa,
Promyk nadziei nie błyszczy mu skrycie.
Nie dla niego złociste jutrzenki uśmiechy,
Słońca twarz przed nim czarna noc okrywa,
Martwy, tak jak po śmierci błąkająca mara.
Cóż mu w niedoli użycza pociechy?..
Wiara...

Wzgardzon od ludzi, opuszczon od świata,
Przyjaciel nie zna, krewny się wyrzeka.

Zbrodniarz co shańbił nazwisko człowieka,
Czeka, aż zbrodni nadejdzie zapłata.
W głuchych pieczarach gdzie słońce nie wschodzi;
Robak sumienia serce jego toczy,
Tysiące wspomnień razem go ugodzi,
Staną zbroczone własną krwią ofiary,
Truchleje zbrodniarz—w przeszłość zwraca oczy:
I znowu wzdrygnie konwulsyjném drżeniem;
Szczęśliwy! jeśli litośném spojrzeniem,
Bóg go pocieszy jednem słówkiem wiary.

Róża rozkwitnie....skwar ją słońca zwarzy;
Wiosny piosenki martwa zima głuszy;
Człowiek zaledwie o życiu zamarzy,
I już bez duszy.
Żal z pozostałych oka, łzę wyciśnie;
Echo światowe głuchy jęk powtórzy;
Ktoś na grób jego rzuci listek róży;
Róża zwiędnieje, mech kurhan okryje,
Wietrzyk zadmucha, słoneczko zabłyśnie;
I już on nawet w pamięci nie żyje.

I takiż to nasz koniec?...o czemuż dziecina?
Pierwszy raz widząc słońce miło się uśmiécha?

Czemuż młodzian, kiedy już dojrzewać zaczyna;
Pieści się z życem i do życia wzdycha?
Czemu?... Nie, próżno rozumu potęgą,
Z serca mojego zniszczyć chcesz nadzieje,
Z twych zdań, pism twoich, dzieł się twoich śmieję;
Bóg mym rozumem, a natura księgą.
Czuję tę iskrę co się w sercu żarzy,
Iskra ta jest od Boga, jego jest udziałem;
Jeszcze świata nie ujrzałem,
Ni lica matki, ani słońca twarzy,
Już z pierwszym życia promykiem;
Ujrzałem duszą stworzyciela lica;
Zabłysła życia mego błyskawica,
I zgaśnie, wszakże jestem śmiertelnikiem.
Mroźny wiatr śmierci ciało me owionie,
Wróci do ziemi co do niéj należy,
Lecz duch się wzniesie — w niebiosa ubieży;
I świat przeżyje na wszechwładcy łonie.

Józef Łopaciński.

OSTATNI O'CONNOR.

Jedyny dziedzic znakomitéj i starożytnéj rodziny Irlandzkiéj, mieszkał przed kilku laty w domu swego ojca, zamku O'Connor, którego gotyckie wieże i poczernione czasem mury, starożytność i szlachetność téj rodziny okazują. Młody Willjam O'Connor, wcześnie utracił ojca i wzrosł pod bacznem okiem matki.

Nigdy syn nie był czuléj kochanym, nie dla tego żeby Willjam był bez wady, ale z temi wadami łączyły się nader piękne przymioty. Był on szczerym, otwartym, bez fałszu, a szlachetność jego serca, nie znała granic. Wady jego, były wadami wieku, lekkomyślności i ducha awanturniczego, który szukał niebezpieczeństw.

Dzień w którym młody Willjam doszedł pełnoletności, był wielką uroczystością w zamku. Wesołe tony kobzy, od świtu dały się słyszeć,

a w krótce potém, ujrzano mnóstwo wieśniaków przybywających z okolic. Nieśli wielkie bukiety, przyszli do głównéj bramy, i powitali młodego swego pana, wesołém „hurrah!“ Te oznaki radości były żywe i powszechne; wesołość błyszczała we wszystkich oczach, bo Willjam kochany był od wszystkich sąsiadów. Poczyniono przygotowania na ich przyjęcie; wpośrodku podwórza widać było beczki piwa, a w ogrodzie zastawiono długie stoły mięsiwem, i owocami. Goście zamkowi stanęli w okrąg i krzyki: „Niech żyje O'Connor!“ ozwały się z nową siłą. Ten okrzyk, oznajmił przybycie bohatera dnia tego, który z szklanką w ręku, wstąpił w środek okręgu każdemu gościowi podawał rękę i wypił za zdrowie wszystkich. Potém stanął na czele młodzieży, i poprowadził gości na miejsce gdzie stół, był zastawiony. Po wesołych toastach, na pomyślność młodego pana, orkiestra rozpoczęła melodję tańca, w którym wszystkie piękności z okolicy, rozwinęły swoję zręczność i powaby.

Kochałem Willjama jak brata, nie wiem wprawdzie, czy mną wtedy powodowała stronność, dość, że spojrzawszy nań, i widząc z jaką uprzejmością, przyjmował swoich gości, wątpiłem że-

by ktokolwiek mógł mieć powierzchowność tak ujmującą i szlachetną. Wzrost jego był piękny, twarz miała coś hiszpańskiego, co żywość i otwartość rysów jego podwyzszało. Tém bardziéj więc zadziwiło mię, że postrzegłem go, rozmawiającego z człowiekiem około lat czterdziestu, i bardzo pospolitym w ruchach. Kto był ten człowiek? Nie widziałem go jeszcze nigdy u Willjama, a znałem wszystkich jego przyjaciół. Siedział na krzesle, oparł niedbale plecy o ścianę, i z niejakąś pogardą spoglądał na wieśniaków. Jego elegancka suknia, bardzo była wykwitną, a twarz jego zakryta była duzemi faworytami i gęstemi wąsami, których końce z obu stron aż na chustkę mu spadały. Zdziwiony tą sprzecznością, a bardziéj jeszcze tém, że Willjam tak długo z podobnym człowiekiem rozmawiał, opuściłem Lady O'Conoor, i zbliżyłem się do jéj syna. Ujrzawszy mię, zdawał się być zmięszanym i spiesznie odstąpił człowieka z którym rozmawiał. Potém przybierając uśmiechające się wejrzenie, rzekł do mnie tajemniczo, że ten przyjaciel jest tak ważną osobą iż przy tak wesołéj uroczystości niepowinien jego nazwiska wymieniać, ścisnął moję rękę, wmięszał się między tańczą-

cych, i przez cały wieczór starannie unikał mię, tak, iż nie mogłem z nim ani raz mówić.

Dziwna odpowiedź jego, a szczególniéj jéj tajemniczość, nie dały mi przez całą noc zasnąć; nazajutrz bardzo wcześnie, udałem się do zamku O'Connor. Wiljam właśnie gotował się przejechać się cokolwiek po wsi; dla użycia przyjemnéj swieżości poranku. Ujrzawszy mnie, wspomniał że matka jego, w skutek wczorajszego znużenia, nie wstała jeszcze, i zapytał, czybym nie chciał mu towarzyszyć. Przystałem. Z początku rozmowa nasza była zupełnie obojętną, dopiero kiedy sam wspomniałem o przedmiocie który mię najbardziéj obchodził, dowiedziałem się, że człowiek którego rysy przez całą noc mię zajmowały, był graczem i zupełnie zepsutym człowiekiem. Człowiek ten, który żyje jeszcze i którego nazywać będę Fitz Gerald, znanym był w całéj Irlandji, a jego czyny ze dwadzieścia rodzin do rozpaczy przywiodły. Usłyszawszy imie jego, nie mogłem wstrzymać się od zadrżenia, i żywo zganiłem Willjamowi, że wdawał się z podobnym człowiekiem.

— Wiem jak o nim mówią, odpowiedział mi z usmiechem, ale wiem także, że nie jest tak złym jak o nim sądzą. Prawda, że jest żywym, gwał-

towanym, ale w gruncie, wyborny człowiek. Nie trzeba wierzyć samym tylko pozorom, kochany Jerzy, i wierz mi, gdybyśmy bezstronnie rozebrali powody licznych pojedynków, które najwięcéj mniemanie o nim pogorszają, przekonalibyśmy się, że słuszność zawsze była na jego stronie.

— Daj Boże! rzekłem sam do siebie,

— Prócz tego, nie szukałem jego przyjaźni, przypadkiem z nim się poznałem. Spotkałem go w czasie podróży mojéj do Francji, i nie mogłem nie przyjąć uprzejmych jego starań, o pozyskanie mojéj przychylności. Odtąd jakiś rodzaj przyjaźni powstał pomiędzy nami.

Tego samego dnia, wkrótce po powrocie naszym do zamku, przyjechał Fitz Gerald. Wszedł, i bardzo uprzejmie przemówił do Willjama, ścisnął mu serdecznie rękę, i zaprosił go po długiéj dość rozmowie, na wieczerzę do siebie. — „Zebrałem, rzekł, kilku przyjaciół, których znałeś jeszcze w Paryżu; przyjdź, spędziemy nader przyjemny wieczór.“ Potém zwrócił się ku mnie, i oświadczył, iż bardzoby się uważał za szczęśliwego, gdybym chciał towarzyszyć temu, którego uważa za najlepszego swego przyjaciela.

Odmówiłem, przyznam jednak, iż uczułem zmianę w mojém wyobrażeniu o tym człowieku. Zdawał mi się być nie tym samym; twarz jego nie straciła téj pospolitości, która główną jego cechą była, ubior jego był jak wczoraj pełen przesady, ale w obejściu jego było coś powabnego; grzeczność jego dowodziła, że wychowanie jego nie było zaniedbane; mówił wiele, a rozmowy jego zdobił dowcip i mnóstwo zajmujących zdarzeń, które umiał nader szczęśliwym sposobem opisywać.

Nazajutrz, kiedym przybył do zamku, moje obawy poprzednie znikły zupełnie; serce moje biło spokojnie, i spodziewałem się przyjaciela mego, znaleść w takiém samém usposobieniu w jakiém go wczoraj zostawiłem. Zwodna nadzieja! Chwila któréj obawiałem się, nadeszła... Gdy wszedłem, O'Connor który siedział przy kominku, wsparty głową na dłoni, zdawał się być w przykrych myślach pogrążonym; przy nim stał stół, a na nim śniadanie, dotychczas nietknięte; cokolwiek daléj na małym stoliku, ujrzałem papier, pióra, kałamarz i zapaloną świécę. Nie uważał jak wszedłem i zbliżyłem się do niego; trzymał w ręku list który uważnie czytał.

— Ach! to ty Jerzy, rzekł postrzegłszy mnie, jak się masz? Właśnie potrzebuję ciebie, bo obawiam się, czy nie wpadłem w okoliczność z któréj bez pomocy przyjaciela podobno nie wyjdę.

— Cóż to się stało?

— Ja sam istotnie nie wiem odpowiedział z rostargnieniem, wszystko co mogę powiedziéć, jest, że w ciągu gry, użyłem cokolwiek żywych wyrażów do Fitz Geralda; nie byłem już panem siebie; wino mną powodowało; tymczasem Fitz Gerald zachował zupełnie swoją krew zimną, i odpowiedział mi ostro, tak że mię obraził.

Odetchnąłem lżéj cokolwiek, bo potém co słyszałem, sądziłem, że O'Connor obraził go, i miałem nadzieję że potrafię zakończyć to zdarzenie bez pojedynku. Nie zważając na jego roztargnienie, rzekłem mu, żeby nie zważał na słowa Fitz Geralda. „Po uczcie, na któréj bezwątpienia nie prezydowała wstrzemięźliwość, zapominają się podobne rzeczy i przebaczają; zresztą, dodałem, wiesz, że w przypadku pojedynku z Fitz Geraldem, koniec jego, stawiam dwadzieścia przeciw jednemu, smutnym byłby dla ciebie.“

Te słowa, wyrwały go z zamyślenia.

— Dlatego też właśnie, nie powinienem zostawić na sobie cienia ubliżenia. Fitz Geraldowi

mniéj niż komu bądź innemu, czuje się skłonnym chociéby na włos ustąpić, w sprawie gdzie idzie o honor. Czytaj to com do niego napisał, i podał mi list który miał w ręku.

Obejmował on następujące wyrazy:

„Mam zaszczyt zasłać panu Fitz Gerald dzień dobry, i zapytać go, czy wyrażenia, których użył do mnie wczoraj wieczorem, wymówione były w zamiarze obrażenia mię.

Jestem, i t. d.

Willjam O'Connor."

Sądziłem że mogę zatrzymać ten list, ale on już był od półgodziny odesłany, nie mogłem przeto nic więcéj uczynić, jak czekać odpowiedzi.

Czułem najżywszą obawę; znałem dobrze Fitz Geralda z publicznéj o nim opinji; dumny z zręczności w strzelaniu, chwytał chciwie każdę okoliczność zjednania sobie strasznego imienia; to była jego sława, to były jego wawrzyny. W mojéj niespokojności, zdawało mi się że słyszę co chwila odgłos podkowy konia, który nam przywozi posłańca z odpowiedzią. Nakoniec przybył on i oddał swemu panu list który przywiozł.

Brzmiał tak:

„Żałuję że wyrazy, które wczoraj wieczorem wymówiłem, zdają się panu O'Connor obrażającemi. Nie miałem bynajmniéj zamiaru, ubliżać mu, dla tego spieszę z oświadczeniem, iż żadnéj nieprzyjaźni dla niego nie czuję.

Zostaję i t. d.

Fitz Gerald.

— Wybornie, rzekł O'Connor, widzisz że twoje mniemanie o nim było niesłusznem.

Ścisnąłem jego rękę i zapytałem o powód sprzeczki, która o mało nie spowodowała pojedynku.

On, nie miał słuszności, odpowiedział Williami, poszło z wątpliwości w jednéj partji écarté. O'Connor przegrał znaczną summę i uczynił jakiś zarzut pomyłki, korzystny dla niego. Przeciwnik jego odpowiedział mu niezbyt umiarkowanemi wyrazami; wtedy O'Connor opuścił salon, z mocnem postanowieniem zażądania nazajutrz wyjaśnienia od p. Fitz Gerald. „Ale, rzekł, Bogu dzięki, przeszło już wszystko; Fitz Gerald okazał się zacnym człowiekiem. Słuchaj Jerzy, musiemy uświęcić szczęśliwe zakończenie téj sprawy, kilku szklankami Sherry!

To zaufanie w krótce miało być okropnie zawiedzioném. Napełniliśmy nasze szklanki i i ledwie kilka chwil upłynęło, kiedy wszedł służący i rzekł, że jakiś obcy, który czeka w przedpokoju, pragnie pomówić z panem O'Connor.

— Niech wnijdzie, rzekł William wesoło, będziemy mieli jeszcze jednego towarzysza do butelki.

Wszedł mężczyzna około lat pięćdziesięciu, wzrostu mniéj niż miernego, z wyraźnemi na twarzy znakami skłonności do wina. Ubior jego i obejście, okazywało człowieka niskiego urodzenia i wychowania.

— Moi panowie, rzekł, proszę mi darować, że śmiem wchodzić do was, niebędąc im poprzednio przedstawionym. Jestem kapitan Mac Creagh i przybywam pomówić kilka słów z panem O'Connor.

— Najpierwéj siadaj pan, rzekł mój przyjaciel.

Ale nie zważając na to wezwanie, obcy wydobył z puljaresu list i podał go Willjamowi.

Niech kto pojmie nasze zadumienie: był to list od Fitz Geralda. Pisał on, iż okazywał list otrzymany od P. O'Connor, kilku przyjaciołom swoim, i że ci osądzili go obrażającym; żądał

zadośćuczynienia. Moja niespokojność doszła do najwyższego stopnia; dwukrotnie przeczytałem list, nie mogąc prawdziwego jego znaczenia odgadnąć; zwróciłem się zatém do kapitana którego widziałem uśmiechającym się, i zapytałem, czy tu nie zachodzi jakie nieporozumienie.

— Nieporozumienia ani pomyłki żadnéj tu nie ma, odpowiedział kapitan z zimną spokojnością, rzecz jest bardzo prosta; mój przyjaciel Fitz Gerald jest obrażony i żąda zadośćuczynienia. Czy mogę się spodziewać otrzymać odpowiedź od pana O'Connor?

Wywabiłem Wilijama do drugiego pokoju. Wziął on pióro, i na moje prośby napisał: iż otrzymawszy dostateczne objaśnienie, zupełnie jest zadowolony, że w liście swoim do pana Fitz Gerald, nie miał zupełnie zamiaru obrażać go, i dla tego spodziewa się, że ta sprawa zupełnie jest już zakończoną. List został wręczony kapitnowi Mac Creagh, który natychmiast oddalił się.

— To jakiś błąd, rzekł O'Connor, mój list naprawi wszystko. Powtarzam ci, co już dawniéj mówiłem, kochany Jerzy, Fitz Gerald jest zacny człowiek, nie awanturnik.

Niestety, jak źle biedny Willjam znał tego człowieka!

Ale w tém było coś tak nadzwyczajnego, że i ja tak byłem ufny jak mój przyjaciel. Wróciliśmy do pokoju, i znaleźliśmy tam lady O'Connor, Annę, kuzynkę i narzeczonę Willjama, i młodego O'Grady, także jednego z krewnych. Piękność Anny stawiała ją w porównaniu z temi piękn emi wzorami, które nam włoscy malarze zostawili. Czuła ona dla swego narzeczonego najtkliwsze przywiązanie; była z nim razem wychowaną, kochała go jeszcze jak dziecię i za kilka dni miała mu przed ołtarzem oddać swoją rękę. Wstała, postąpiła naprzeciw nam, i prosiła Willjama żeby jéj towarzyszył przy fortepianie. Willjam chętnie posłuchał tego żądania, i wraz rozpoczęliśmy mały koncert. Potém nastąpiła przyjazna pogadanka, jaka miewa tylko miejsce między osobami, które się wzajemnie kochają. Willjam obok swéj matki i narzeczonéj, odzyskał znowu swoją zwykłą wesołość, podczas gdy podeszła matka niekiedy uśmiechała się do młodéj dziewicy, która na swego narzeczonego, rzucała czasem spojrzeniem najżywszéj czułości.

Godzina obiadowa, znalazła nas wśród przyjemnych rozmów, i właśnie mieliśmy wejść do sali jadalnéj, kiedy służący doniósł o drugim gościu, który chce się widzieć z panem O'Connor. Udał on się do dolnych pokoi, a ja poszedłem za nim w kilka chwil późniéj. Niestety, moja niespokojność sprawdziła się, To czego się obawiałem, właśnie się stało! Willjam w obecności kapitana przeczytał list który tenże przywiózł, i w którym mu przeciwnik jego jak najobraźliwsze dawał przydomki. Fitz Gerald pisał, że jeśli O'Connor jeszcze będzie czynił trudności. w daniu mu zadość-uczynienia, w tedy on wszędzie jego tchórzostwo, i jego hańbę rozgłosi.

Twarz O'Connora pokryła się śmiertelną bladością; nie pojedynku się obawiał, bo nigdy nie znał trwogi; ale że usłuchał prośby mojéj, okazał się słabym, nie odpowiedział na bezwstydny list Fitz Geralda najostrzéjszemi wyrazami, i że mu nie oświadczył, iż w każdéj chwili gotów jest stanąć przeciw niemu gdzie tylko zechce, to była okropna myśl, która zakrwawiła jego serce. Uważał się za pozbawionego czci, i gniewał się na usiłowania moje aby go uspokoić. Gdy mi się to

nakoniec udało, zgodziliśmy się, że ja będę jego sekundantem; spodziewałem się jeszcze, iż mi się uda spokojnie zakończyć tę sprawę. Rozmówiłem się z kapitanem Mac Creagh, doradcą pojedynku i zarazem sekundantem Fitz Geralda; mówiłem o sławie jaką sobie zjednał Fitz Gerald, o niezaprzeczonéj wyższości jaką tenże ma w pojedynku przez zręczność w strzelaniu, i nieszczęściu jakie z wycięstwo z któréj bądź strony za sobą pociągnie; ale tego wszystkiego słuchał on z lekceważeniem i przekonałem się, iż nie może się obejść bez pojedynku. Miałem tylko jeszcze uczynić potrzebne przygotowania; ułożono się, że pojedynek odbędzie się na polu, prawie w pośrodku między zamkiem O'Connor, i mieszkaniem Fitz Geralda. Obadwaj przeciwnicy zejść się tam mieli o godzinie piątéj z rana, aby Fitz Gerald nie miał powodu obawiać się, bo prawdopodobnie, wieśniacy, gdyby usłyszeli o téj sprawie, spiknęliby się wszyscy, na obronę swego kochanego pana. Wybrano także pistolety; ja wprawdzie opierałem się, znając zręczność Fitz Geralda, ale napróżno.

Kiedy to wszystko zostało ułożone, chciałem wyjechać z zamku, ale Willjam, który drżał na myśl pozostania sam na sam z swoją matkę i

narzeczoną, zatrzymał mię. Wróciliśmy do sali. Lady O'Connor i Anna siedziały przy kominku, a młody O'Grady czytał romans, podczas gdy damy haftowały woreczek, który starannie ukryły za naszém wejściem. Lady O'Connor uśmiechnęła się ujrzawszy syna: zawołała go, kazała mu usiąść przy sobie, i pytała z zajęciem, co go tak zmieszało. Willjam na to pytanie zadrżał, i obawiałem się, że zdradzi swoję tajemnicę ale udało mu się dać inny obrót rozmowie, poskromić swoję niespokojność i tym sposobem złudzić swoją matkę. Mimo to jednak najmniéj wprawne oko byłoby dostrzegło, że coś mu się stało; lica jego żywo były zarumienione, a z oczu jego, błyszczał nienaturalny ogień, jakby miał gorączkę. Kiedy Anna i Lady O'Connor chciały odejść, zatrzymał je, tak, iż daleko dłużéj pozostały jak zwykle. Gdy się nakoniec oddaliły, Willjam uścisnął swoję matkę, z największą tkliwością; potém przycisnął rękę kuzynki do ust swoich tak silnie, iż się przestraszyła, spojrzała nań, i stała przez chwilę jakby się czegoś domyślała.

Kiedy damy odeszły, Williama wkilku wyrazach wyjawił swemu kuzynowi O'Grady, co się stało,

prosił on go aby nam towarzyszył, i udał się do swego pokoju. Ja także udałem się do mego; ale na próżno szukałem snu, wstałem wkrótce, zacząłem przechadzać się po pokoju, i stanąłem przy oknie, sądząc że chłód nocny uspokoi mię, lecz myśli moje stały się jeszcze posępniéjszemi. Tak noc spędziłem i nakoniec udałem się do Wilijama.

Zastałem go śpiącego, z opartą na ręku głową; dwie świece paliły się na jego biórku, a obok nich leżały listy i papiery. Szelest który uczyniłem wchodząc, obudził go; wstał, podał mi rękę, uścisnął moją i podziękował mi tkliwie za przysługę jaką wyświadczam mu podejmując się być jego sekundantém.

— Mój biédny Jerzy, rzekł patrząc na mnie czule. Ty zdajesz się więcéj brać tę rzecz do serca niż ja. Nie lękaj się, wyjdę szczęśliwie z téj sprawy, a choćby i nie, dodał, dostrzegłszy moje smutne spojrzenie, nie chciałbyś przecie żeby twój przyjaciel został zniesławionym? A to stałoby się niezawodnie; nie mógłbym się nigdzie pokazać, bo znam Fitz Geralda; wszędzieby opisywał iż jestem tchórz, a wolę sto razy umrzéć, niż jeden raz znieść podobną niesławę.

Po tych słowach, wskazał na papier który obok dwoch listów leżał, i rzekł:

— Jeden jest do mojéj matki, drugi do Anny; pocieszaj je, jeślibym poległ, i powiedz im, jak bardzo je kochałem. Ach! moja biedna matko! Ciebie zostawić samą i cierpiącą, teraz, kiedy właśnie potrzebujesz całéj miłości twego nieszczęśliwego syna! Zakrył twarz rękami, aby ukryć łzy swoje i silnie ścisnął dłoń moję.

W téj chwili, usłyszeliśmy lekki szelest za drzwiami; słuchaliśmy uważnie, i kiedy szelest ustał czyniliśmy daléj smutne przygotowania do walki, która wkrótce odbyć się miała; ale westchnienie jakieś obudziło znowu naszą uwagę. Wstałem, poszedłem ku drzwiom, i otworzyłem je: Na progu klęczała Anna; znała ona okropną tajemnicę. Jéj miłość, uczucie jakiego doznała żegnając się wczoraj wieczór z swoim narzeczonym, dały jéj przeczuć niebezpieczeństwo. Łzami zalaną, nieprzytomną sobie, wziął Willjam w swoje objęcia i okrywał ją pocałowaniami, a ona silnie przyciskała go do piersi, jakby go nie chciała puścić. Ach! ta scena nigdy nie zatrze się w méj pamięci.

— Willjamie, zostań, zostań, zaklinam cię.

— Ja muszę odejść, odpowiedział Willjam łagodnie, honor tego wymaga; nie mógłbym

spojrzéć na ciebie Anno, umarłbym z wstydu, gdybym posłuchał twojéj prośby. Uspokój się, — twoja trwoga osłabia mię, a potrzebuję całéj mojéj siły. Chciał właśnie uwolnić się z objęć kochanéj, ale wtém Anna wydała głośny krzyk, jéj lica zbladły, drżała jak listek. O'Grady wszedł z pistoletami, mówiąc, że już czas. Biédna dziewica zemdlała. Zostawiliśmy ją staraniom służących, i oddaliliśmy się.

Mgła nocy, gęstą zasłoną pokrywała wieżyczki zamku; ranek był zimny a kiedy niekiedy promienie wschodzącego słońca, rzucały w około nas blady blask, który smutniéjszém jeszcze czynił przyrodzenie. Milcząc jechaliśmy jeden obok drugiego, i już minęliśmy połowę drogi, kiedy O'Connor, który często niespokojnie na zegarek spoglądał, przełożył nam, żebyśmy oddali konie stajennemu, i udali się pieszo, dróżką która nas w kilka chwil na przeznaczone miejsce zaprowadzi. Zsiedliśmy więc z koni, i udaliśmy się pieszo, ale na polu czekała nas nowa scena. Ten pojedynek który w takiéj tajemnicy utrzymywaliśmy, był już wiadomy całéj włości, i z każdéj strony widzieliśmy ludzi uzbrojonych kijmi, biegnących w tym kierunku który teraz obraliśmy.

Pomiędzy niemi znajdowała się także stara kobiéta w czerwonym płaszczu, która tak szybko jak tylko mogła przed nami biegła. Usłyszawszy za sobą szelest, obejrzała się, i poznawszy O'Connora, przybiegła doń i płacząc wzięła go za rękę.

— Co czynisz tak zrana na polu, moją poczciwa Saro? zapytał jéj uprzejmie O'Connor.

Biedną stara odpowiedziała tylko spojrzeniem, ale w tém spojrzeniu, było tyle smutnéj wymowy, iż niepodobna było nie poznać uczucia jakie miotało sercem biednéj kobiéty. Sara była mamką O'Connora, i z tego powodu uważała się, jak to jest zwyczajem w Irlandji, za drugą matkę młodego panicza, i ona dowiedziała się o tém, o czém wszyscy wieśniacy wiedzieli, że jéj kochany syn, chce się strzelać z okropnym Fitz Geraldem, i jak wszyscy inni, przyszla aby go bronić. O'Connor chciał ją uspokoić, ale na próżno; stara, któréj drżące ręce chciały z razu zatrzymać jéj ukochanego syna, puściła go i spiesznie zaczęła dążyć do placu bitwy.

Mnóstwo wieśniaków i kobiét czekało tam na nią; zaledwie ukazaliśmy się, powitało nas tysiąckrotne wykrzyknienie: „Niech żyje O'Connor!"

Za chwilę ujrzeliśmy przybywającego Fitz Geralda i kapitana. Ponieważ wieśniacy utworzyli rodzaj żyjącego muru około swego ukochanego pana, i grozili jego przeciwnikowi, O'Connor wystąpił naprzód, nakazał milczenie, i rzekł: „Mili przyjaciele, dziękuję wam za żywe zajęcie jakie dla mnie okazujecie, wiem teraz czego mogę się spodziewać po was w potrzebie; ale ten przeciwnik, z którym mam walczyć, znajduje się tu pod opieką praw honoru, jestem odpowiedzialnym za wszystko coby go spotkać mogło. Dla tego wymagam abyście go szanowali, cokolwiek wypadnie.

„Przekleństwo Fitz Geraldowi! zawołali wieśniacy, niech ginie zbrodniarz! Ten morderca chce zabić naszego pana."

O'Connor znowu zabrał głos i udało mu się nakoniec uspokoić gromadę, która rozstawiła się po obu stronach, i w milczeniu oczekiwała końca walki. Wtedy Fitz Gerald postąpił ku swemu szlachetnemu przeciwnikowi i zapytał, czy jest bezpiecznym.

— Przyrzekam, że się wam nic złego nie stanie, odpowiedział O'Connor.

Przystąpiłem do kapitana, dla dopełnienia ostatecznych przygotowań. Chciał on żeby strzelali się o dziewięć kroków, ale ja sprzeciwiałem się temu; zdaliśmy się na los i ten wypadł na ich stronę. Następnie ułożyliśmy, że strzelać będą z osobna, i tym razem los przeznaczył pierwszy strzał memu przyjacielowi. Odmierzyliśmy odległość; podaliśmy im pistolety nabite, i w milczeniu stanęli na miejscach.

— Czy pan O'Connor jest gotowy? zapytał kapitan,

— Gotowy, odpowiedziałem.

— W takim przypadku, pal!

O'Connor strzelił, ale w sposobie trzymania pistoletu każdy obecny mógł dostrzedz, że umyślnie na wiatr wystrzelił, i wszyscy oświadczyli to głośnym okrzykiem. Wspaniałomyślność kierowała strzałem Willjama, ale to nie uczyniło żadnego wrażenia na nielitościwym kapitanie; przystąpił do Fitz Geralda, który zdawał się mieć zamiar naśladować szlachetny przykład swego przeciwnika, i rzekł mu, że powinien użyć prawa jakie mu służy. Kilku wieśniaków przystąpiło ku nim, a kapitan wymierzył do nich odwiedziony pistolet. Byłoby do gwałtownych kro-

ków przyszło, gdyby O'Connor raz jeszcze nie użył swego wpływu.

Obaj przeciwnicy zajęli znowu swoje miejsca, a ja wyznam, że drżałem cały, kiedy O'Connor spokojnie skinął na mnie abym dał znak. Zapytałem więc drżącym głosem.

— Kapitanie Mac Creagh, czy pan Fitz Gerald jest gotow?

— Tak!

W téj saméj chwili, nieszczęśliwy mój przyjaciel wydał krzyk rozdzierający serce i krwią zalany upadł. Stało się; kula Fitz Geralda przeszyła jego serce.—Wtedy nastąpiła scena niepodobna do opisania. Mordercy dopadli koni i w najtęższym galopie uciekali ścigani przez wieśniaków, ja zaś i O'Grady pochyleni nad naszym przyjacielem, trzymaliśmy go w objęciach, usiłując wstrzymać krew obficie upływającą.

— Jerzy, rzekł on do mnie, biédny mój Jerzy, umieram, Ty musisz tę wiadomość zanieść Annie i mojéj matce. Powiedz im wszystko. Chciałbym je raz jeszcze zobaczyć!—Ach, duszno mi, dajcie mi napić się czego.“

Wstrzymuję się; nie zdołałbym wystawić przerażającego krzyku boleści staréj Sary, która rzu-

ciła się do nóg tego którego swemi piersiami karmiła; nie potrafiłbym opisać boleści podeszłéj matki, która uwiadomiona przez Annę, drżąc przybyła na to miejsce, gdzie syn jéj leżał. Widziałem od owéj chwili wielu umierających, widziałem pola bitwy trupami zasłane, ale nigdy serce moje nie było tak gwałtownie wzruszone jak w tedy; nie mogłem spojrzéć na mego nieszczęśliwego przyjaciela. W jego oczach był jakiś wyraz prośby, który mi rodzierał serce. Nakoniec przyszedł chwilowo do przytomności, zobaczył matkę i chciał ją uścisnąć, ale już nie miał siły; ręce jego opadły bezwładnie, i w kilka chwil skonał.

Taki był smutny koniec ostatniego dziedzica imienia O'Connor. Od tego okropnego dnia nie bywałem w zamku, kiedy pewnego razu w pół roku po tym wypadku, znajdowałem się w pobliskości jego i wszedłem w aleę prowadzącą do bramy; drzewa były jeszcze zielone ich gałęzie skąpane w rannéj rosie, wesoło kołysały się wśród wiatru; ale dziedzieńce były puste; wszedłem aż do przedpokoju i nikt mię nie widział. Chciałem właśnie zwrócić się, kiedy stara mamka Willjama wyszła z pokoju, w którym ostatni wieczór z Willjamem przepędziliśmy. Od niéj dowiedziałem

się iż matka Willjama, nie opuściła swego pokoju od czasu śmierci syna, i że Anna przed kilku dniami zstąpiła za nim do grobu.

SPOSÓB ZROBIENIA SZCZĘŚCIA.

Pomiędzy memi towarzyszami szkólnemi w N.., w roku 1810, znajdował się jeden, nazwiskiem Leon Marillat, potomek dawnéj francuzkiéj rodziny. Leon miał szczęśliwy przywiléj młodości, to jest umysł zawsze wesoły. Wkrótce połączyliśmy się bardzo ścisłą przyjaźnią, ale ta nie miała bynajmniéj zasady w zgodności naszych charakterów i skłonności, owszem nasza harmonja

wypłynęła jak to nieraz z doświadczenia widziemy, z obustronnych sprzeczności; jakaś niepojęta skłonność ciągnęła mię ku niemu, podobały mi się jego głupstwa, on zaś z swojej strony cieszył się każdą pochwałą jaką mi zjednała moja pilność; ja za niego pisałem łacińskie wiersze a on za mnie udzielał w potrzebie kilkanaście kułaków. Wszystkie klassy przeszliśmy razem, i wyszliśmy ze szkół, on ubogi w wiadomości, ja zaś opatrzony świadectwami posiadanych nauk... Byliśmy prawie w równym wieku.

Po krótkiém rozłączeniu, znaleźliśmy się znowu wkrótce w Paryżu; ja uczyłem się prawa, a on, podług zwyczaju nic się nie uczył. Zrazu zaczął probować wydziału lekarskiego, ale zapewne zrażony przykrościami sekcji, udał się w inny zawód; przerzucił ich ze dwadzieścia, był pisarzem przy poborcy podatków, dependentem u Adwokata, to znów pisał dla redakcji pism perjodycznych, trudnił się poruczeniami handlowemi i Bóg wie nie czém. Wpośród tych doświadczeń znikł powoli szczupły mająteczek, który otrzymał po ojcu, i nieraz już przyszło mu znajdować się w zupełnym braku pieniędzy. Mimo to, trzymał się on jeszcze silnie niektórych zasad. W przykrym rodzaju życia jakie

prowadził, nieraz bowiem nie wiedział dziś, czém zapłaci jutrzéjszy objad, albo gdzie go będzie mógł zjeść niepotrzebując zapłacić, postępował on podebnie jak muł w górach, który nad samym brzegiem przepaści niesie podróżnego bez szwanku, to jest szedł na saméj linji która uczciwego człowieka i łotra rozgranicza, ale jéj nigdy na złą stronę nie przestąpił.

Od niejakiego czasu, straciłem go zupełnie z oczu, wtém pewnego poranku szedłem przez bulwar włoski, i o mało nie zostałem przejechany przez szybko pędzący elegancki koczyk. Uciekłszy na stronę zdrowy i nienaruszony, odwróciłem się aby na właściciela powozu, rzucić gniewném spojrzeniem uczciwego piechotnika, który widział swoje życie zagrożoném. O cudzie! zdawało mi się że rozróżniam rysy Leona. Tak, to był on; i on mię poznał, i już wyskoczył z swego powozu, aby mię uściskać. Osłupiałem, widząc go w położeniu tak różném od tego w którém go zostawiłem, i zaledwie byłem w stanie wymówić kilka słów niezrozumiałych. Odgadł przyczynę mego pomięszania, i rzekł uśmiechając się: Jesteś nadzwyczajnie zdziwiony... Spieszę teraz na bardzo ważne i nie cierpiące zwłoki *rendez vous*, nie mam ani chwili

czasu, aby z tobą pomówić, ale przyjdź do mnie jutro na śniadanie... Dowiesz się wszystkiego. Z serdeczném uściśnieniem dał mi swój adres, skoczył do powozu, i raz jeszcze przyjaźnie żegnając mię skinieniem, szybko odjechał, Przez nie jaki czas spoglądałem na oddalający się powóz, aby się przekonać, że nie jestem igraszką omamienia, i kilkakrotnie przeczytałem podany mi przez Leona bilet, na którym wyszlychowane było: Leon de Marillat, ulica Heldera, Nr. 47.

Łatwo zgadnąć, że nieuchybiłem rendez vous. Dom który znalazłem podług adresu, bardzo piękną miał powierzchowność; wskazano mi pierwsze piętro, suto strojny lokaj poprowadził mię przez liczne, kosztownie meblowane pokoje aż do gabinetu swego pana, którego znalazłem w jedwabnym złotem haftowanym szlafroku, właśnie kiedy sobie fałszywe wąsy i faworyty podług mody czernił. Przyjęcie jego było serdeczne.

— Nakoniec, rzekłem do niego gdyśmy już byli sami, zdaje się, że złapałeś fortunę za głowę!

— Słuchaj, odpowiedział z poważną miną, przed tobą, który mi nieraz dałeś mnóstwo dowodów prawdziwej przyjaźni, nie chcę mieć

żadnéj tajemnicy... Przypominasz sobie moje położenie, kiedyśmy się ostatni raz widzieli; w końcu przeszłego roku, byłem pozbawiony wszelkich zasiłków, albo żeby wyraźniéj powiedzieć, nic już nie miałem, a ponieważ niechciałem zostać łotrem, zacząłem więc naprawdę namyślać się, nad najpewniéjszym środkiem uwolnienia się od ciężaru tego życia; kiedy, pewnego poranku, otrzymałem wezwanie żebym się stawił do jednego starego prokuratora, człowieka bardzo zacnego, którego imie przypomniało mi zaraz dawnego przyjaciela mojego ojca. Pospieszyłem do niego....Szło o dziedzictwo które mi zostawił mój wuj, stanowiąc wykonawcą testamentu, owego prokuratora. Dziedzictwo składało się z 30,000 franków w biletach bankowych. Radość moja graniczyła z szaleństwem; wtedy starzec rzekł zimno i sucho:

— Widzę, że to dziedzictwo w sam czas nadeszło, tém lepiéj! Ale młodzieńcze, trzeba być roztropnym. 30,000 franków, jest to bardzo piękna sumka! Nie miałem tyle, kiedy zacząłem dorabiać się majątku. A teraz, posiadam prawie dwa razy tyle rocznego dochodu!... Uczyń pan tak jak ja; pracuj nad swojém szczęściem, pomyśl o jakimbądź sposobie, byle uczciwym; zbie-

raj abyś używał, i używaj zbierając... Pocóż żylibyśmy na świecie, jeśli nie po to, żeby sobie los zrobić?

To zakończenie zacnego starca, szczególne na mnie uczyniło wrażenie. Odszedłem, powtarzając sobie: „Pocóżbyśmy żyli na świecie, jeśli nie po to, żeby sobie los zrobić?“ Zacząłem rozumować nad temi wyrazami starego prawnika, i okazały mi się one słupem wskazującym zbłąkanemu drogę. Ma słuszność, pomyślałem sobie; oczekując na dobra niebieskie, przywłaszczyć sobie ile możności jak najwięcéj ziemskich, na tém cała sztuka! W każdym stanie właściwym celem są... p i e n i ę d z e! Oto jest słowo wielkiéj zagadki społeczeństwa!... Dobrze! zawołałem ukończywszy korzystne namysły, i ja muszę sobie los zrobić!

Powziąwszy to postanowienie, pojmujesz z łatwością, że ani mi na myśl nie przyszło, moje 30,000 franków złożyć na procent, aby sobie zapewnić 1,500 franków rocznego dochodu. Nie pragnąłem ja tego nędznego istnienia o chlebie i wodzie, lecz bogactw, z ich głuszącą wrzawą i szybko ubiegającemi dniami, ale po których można sobie powiedzieć; Żyłem!....Aby do tego

dojść, miałem przed sobą mnóstwo dróg otwartych; zaraz wyłączyłem z pomiędzy nich ruletę i giełdę, jako niebezpieczne; następnie spekulacje handlowe, które za mnóstwem prawdopodobnych przypadków zysku, ukrywają najczęściéj bankructwo; daléj akcje, które opłacają nam dywidendy z własnych naszych pieniędzy... Chwyciłem się śmielszego planu!... Pomimo mojéj pozornéj lekkomyślności, pilnie ja przypatrywałem się światu i uczyłem się zgłębiać czas w którym żyjemy. Społeczeństwo, takie jak jest w istocie, mówiłem sobie, bogatym daje, a ubogim bierze. Jeśli tylko sądzić będzie, że mam 30,000 fr. dochodu, to mi je da niewątpliwie; jak i w jaki sposób, nie wiem wprawdzie, ale jestem o tém przekonany. Wkrótce więc powziąłem zamiar, i postanowiłem mieć 30,000 franków dochodu... na jeden rok. Położenie w jakiém mię znajdujesz, jest skutkiem tego postanowienia.

— O nieba! zawołałem, co za nierozsądek!... jeśli ci się nie powiedzie?

— Musi się powieść, odpowiedział Leon spokojnie; moje obliczenie jest nieomylne, posiadam dopiero od trzech lub czterech miesięcy moje 30,000 franków, i widzę już, że sprawa

moja pożądany skutek mieć będzie. Kiedy byłem ubogi, żyłem samotnie, opuszczony w pośród całego wielkiego Paryża; w pośród tego niezliczonego tłumu ludzi, ty byłeś jedynym który mi rękę podawałeś... ale od czasu jak jestem bogaty, znam cały Paryż, zdaje mi się jakbym nie był tym samym co dawniéj, nie wiem skąd, same mi przybywają różne znajomości, przyjaciele cisną się w około mnie, bez żadnych zabiegów z mojéj strony. Jak uważasz, istnieje jakieś tajemne powinowactwo pomiędzy ludźmi *comme il faut* i szlachetnemi kruszcami, które ich silnie przyciągają. To jest prawdziwie chemiczny process! Upewniam cię, iż nigdy nie brakuje gości na moich śniadaniach, które są wyszukane, ani na towarzyszach przejażdżki, którzy chętnie dosiadają moich karych anglezów. Zresztą moje wykwintne i wspaniałe życie jest wyrachowane, ponieważ mam przed sobą niezachwiany cel; nie mam ani długów ani kochanki; wszedłem w najznakomitsze towarzystwa, prezes Izby ściska mię za rękę, pan de R... udziela mi przy spotkaniu, uśmiech, który na gieldzie dyskontują biletami bankowemi, nakoniec piękna hrabina de L... niekiedy pyta mię o zdanie względem jéj toalety.

— Co, rzekłem uśmiechając się, liczysz między twemi znajomościami nawet hrabinę?—dla tego też zapewne nazywasz się de Marillat.

— Ty tego nie pojmujesz, odpowiedział, nie mam żadnych przesądów, ale nie wystawisz sobie jaki wpływ wywierają na spółeczeństwo ci ludzie z tytułami. Gdybym był posłuchał Ganiveta, byłbym został hrabią.

— Któż to jest ten Ganivet?

— Jest to jeden z tych przyjaciół o których właśnie mówiłem; nie z tych wprawdzie, dodał ściskając moję rękę, którzy honorarjum za pierwszy wygrany proces otrzymane, dzielą z swoim biednym szkolnym towarzyszem, ale z tych, którzy kosztem jego żyją, kiedy został bogatym. Ganivet, jest to zniszczony kupiec, który jednakże nie utracił dawnych swoich związków korzystnych. Ani domyślając się tego, wiele on się przyłożył, do podania mi miejsca w świecie, które mieć chciałem; on bierze na siebie, wszędzie wychwalać moje dostatki, mój charakter i moje talenta. Postarał mi się o prześliczny wiejski pałacyk w Perigord, który w końcu pomimo ciągłych wzbraniań się musiałem przyjąć. W do-

mu mam z niego rodzaj *faetotum* który łaje moich służących i oblicza się z liwerantami. W dzisiejszym czasie, dom bogatego młodzieńca, nie może się obejść bez podobnego stworzenia. Jest on doczesnym intendentem, przychodzi on razem z szczęściem, i razem z niém odchodzi. Jest on zawsze na usługi trzydziestu tysięcy franków dochodu.

W ten sposób widziałem mego przyjaciela, igrającego wesoło z położeniem które mnie przerażało. Ale nie odezwałem się z żadną pod tym względem uwagą, ponieważ uważałem tę chwilę za niestosowną do podobnych przedstawień. Zasiedliśmy do śniadania. Na pięć minut przed tém, zbiegł się cały szereg *przyjaciół* Leona, a Ganivet na ich czele. Zaproponowano przejażdżkę przed południem; przyjęty jako przyjaciel młodości gospodarza, zostałem obsypany prośbami, abym towarzyszył dzisiejszéj zabawie, ale miałem zatrudnienia, odszedłem zatém, przyrzekłszy Leonowi, że go niedługo odwidzę, i udałem się do domu, głęboko pogrążony w roz myślach, nad tém co przed chwilą słyszałem.

Widywaliśmy się coraz częściéj; wprowadził mię do kilku domów w których bywał, i tym spo-

sobem, mogłem baczném okiem śledzić postępy jego śmiałego przedsięwzięcia.

Miesiące upływały, a położenie jego nie zmieniało się w niczém, prowadził ciągle to życie pełne hucznych rozrywek, którym zdawał się oddawać z duszą i ciałem. Jednakże nie przepuścił żadnéj okoliczności, mogącéj go przybliżyć do jego celu, i z obojętnością człowieka, który wszystkiego ma do zbytku, stał on jednak ciągle na czatach, aby uchwycić szczęście, w chwili gdy koło niego będzie przechodziło.... Ale kapryśna fortuna nie nadbiegała!...

Prawdopodobnie, stawiało mu się mnóstwo interesów, w których zawsze upewniano go o szczęśliwym skutku; ale do tych trzeba było mieć przynajmniéj m i l j o n, a on go nie miał. Do godności nie mógł dążyć, ponieważ nie był nawet deputowanym. Wiele wprawdzie znakomitych osób sprzyjało mu, ponieważ uważano go dobrze, sądząc z pozorów jego postępowania; rozmawiano z nim nieraz długo i tajemnie; obchodzono się z nim, jak z człowiekiem który był przeznaczonym zostać kiedyś parem Francji, ale jak na teraz, poprzestano na ozdobieniu go orderem legji honorowéj, i mianowaniu go referen

darzem, w służbie nadzwyczajnéj. To było jednak coś.

Szczęśliwie także uszedł wielkiego niebezpieczeństwa. Spotkał on w swojéj drodze, jednę z tych przewrotnych kobiet, które w świecie grają role wdów, i wpadł w jéj sieci. Już zacierał ręce, pewien swego tryumfu, ale na nieszczęście, zacna ta dama właśnie taką samą jak on majątkową komedję grała. Jéj dochody bliskie były wyczerpania, jéj djamenty były fałszywe, meble pożyczane, i już nigdzie nie mogła znaleść kredytu, kiedy pewien lord, zaślepiony jéj świeżą twarzy i naturalnym wdziękiem, który sobie codziennie przed zwierciadłem nadawała, położył koniec jéj szczęśliwemu stanowi wdowiemu, zaślubiając ją... Ona, zrobiła sobie już los!... Tak szczęśliwe rozwiązanie, odżywiło wszystkie nadzieje mego przyjaciela.

Ale nadchodził już Grudzień. Pewnego poranku, poszedłem do niego, aby mu bez ogródki powiedzieć zdanie moje, względem jego nierozsądnego postępowania, ale on przerwał mi w samym początku mowę, zapewniając mię najspokojniéj, iż niepotrzebnie się obawiam,

i że on pewnym jest zupełnie pomyślego skutku.

Znowu upłynęło kilka dni, nie przynosząc żadnéj zmiany w jego położeniu. Tak doskonale udawał bogatego, iż mnie samego łudził; nie mogłem pomyśléć iż on doszedł już do ostatnich paczek biletów bankowych składających jego dziedzictwo po ojcu; i że za kilka tygodni, kłamliwy blask którym się otoczył, już miał zniknąć, i wrzucić go napowrót w smutny stan niedostatku, w którym tak długo się męczył.

Pewnego wieczora, byliśmy razem na wspaniałym balu, u dyrektora jednego z wydziałów skarbu. Leon bawił się wesoło, i uważałem iż jego piękna postać i przyjemna fizjonomja, przedmiotem były żywego zajęcia się jego tancerki, wysokiéj, zgrabnéj, nieco bladéj dziewicy, która pomimo swéj lekkiéj bladości, pełna była wdzięku. Nagle twarz jéj z powodu zapewne gorąca, albo zbyt ściśnionéj sznurówki, pokryła się śmiertelną bladością, i zdawała się być bliską zemdlenia. Leon który uważał jéj poruszenia, objął jéj kibić przyjazną ręką i poprowadził ją ku jéj matce, która także postrzegłszy jéj osłabienie, wstała pospieszając na jéj przyjęcie. Ten wypadek zajął wszystkich obecnych, ale młoda osoba,

która w przyległym chłodnym gabinecie odetchnęła świeżém powietrzem, wróciła wkrótce do salonu, gdzie ją mnóstwo osób powinszowaniem że wróciła do zdrowia przywitało. Była to córka byłego naczelnika jednego z biur skarbowych, który przed kilku laty umarł; ojciec jéj nie zostawił żadnego majątku, ale jakiś stryj, były poborca podatków, który ją bardzo lubił, przyrzekł jéj 300,000 franków w posagu. Leon dowiedział się o tém w czasie jéj omdlenia, i łatwo domyśléć się że nie był ostatnim z tych którzy zbliżyli się, do powracającéj na salę panny Natalji B....; jego dowody zajęcia się, tém naturalniejszemi musiały się wydawać, ponieważ zasłabła tańcząc z nim. Dziewica przyjęła je uprzejmie, i ponieważ nie tańczyła już tego wieczora, mógł więc wyłącznie nią, a szczególniéj jéj matką zajmować się, u której wkrótce wielkie zjednał sobie łaski.

Następnego dnia, przemyśliwał tylko nad sposobem przedstawienia się w domu pani B... ta trudość tém łatwiéj została usuniętą, ponieważ jeden z przyjaciół Ganiveta, żył w przyjaźni z jednym przyjacielem starego stryja Natalji, za pośrednictwém więc tych wszystkich przyjaźni, doszedł do przedstawienia się u pani B ... gdzie

został z największą uprzejmością przyjęty. We dwa dni późniéj, odwiedził drugi raz matkę Natalji. Musiał spieszyć się, bo już zbliżał się kres fatalny. Ale wszystkie przeszkody znikały, stryj zdawał się mieć w nim upodobanie, Natalja spuszczała oczy rumieniąc się, i wzdychała kiedy Leon przyszedł, mały jakiś z melancholicznym wzrokiem kuzynek, który z nią dawniéj śpiewał duety przy fortepianie, zniknął nagle po pierwszych odwiedzinach Leona. Podług zwykłych w świecie przepisów, odbyło się oświadczenie o rękę panny Natalji i zostało przyjętém. Stryj nie chcąc aby zięć jego pomimo swego ogromnego majątku niczém się nie zajmował wyjednał dlań u ministra znaczne i korzystne miejsce w wydziale skarbowym. Piękna żona, piękna posada! wszystko szło Leonowi pomyślnie.

Ale artykuł jego wielkiego majątku, wprawiał go w kłopot. Musiał pierwéj nim przyjdzie do podpisania aktu ślubnego, przystąpić do otwartego wyznania i odkryć maleńki podstęp, który mu posłużył do wzniesienia się do bogatéj panny i znacznego urzędu. Ja otrzymałem zlecenie dopełnienia tego przykrego kroku. Udałem się zatém do starego stryja, zbrojny całym arsenałem oświadczeń i

wymówek. Ale znalazłem w nim człowieka który mię na samym wstępie przerwał suchem: „do rzeczy!“ Cokolwiek zmieszany chwilowo, prędko jednak zebrałem zmysły i zacząłem mu całą rzecz wykładać, starając się ile możności przedstawić ją z dobréj strony. Pan de Marillat nikogo nie oszukał, on sobie nie przypisywał majątku, jedynie świat wspaniałomyślnie osądził go bogaczem. Gdym skończył, stryjaszek który nie dał się pięknemi dowodzeniami zaślepić, powstał rozgniewany, mruknął między zębami „awanturnik,“ i oświadczył, iż nic nie będzie z małżeństwa. Oddaliłem się smutny, i doniosłem Leonowi o złém zakończeniu mojéj konferencji. Posłuchawszy mię przez chwilę w milczeniu, wstał odszedł nagle, nic nie mówiąc. Zostałem się smutny i zamyślony, bo ujrzałem, że sen jego skończył się; a jakież przebudzenie!

Myliłem się. Pobiegł do swojéj narzeczonéj, rzucił się jéj do nóg i w jéj ręce swój los złożył. Był czułym, namiętnym, przyciskał z uniesieniem do serca, piękne rączki młodéj dziewicy, któréj spojrzenia wyrażały trwogę. Odbyła ona następnie wielką tajemną naradę z swoją matką, która natychmiast poszła rozmówić się z stryjem. Przy tych wszystkich tajemnych naradach, szło

bardzo czułe; wszyscy płakali wyjąwszy starego bogacza, który nigdy nie płakał, ale nakoniec, przeklinając literaturę romantyczną, dał swoje zezwolenie. Kontrakt ślubny został podpisany tego samego wieczora. a w trzy dni potém w pośród tłumu ciekawych, odbyłsię ślub w kościele S. Rocha; było to dnia 30 Grudnia. Kuzynek, który nie wiedziéć skąd znalazł się znowu w dzień ślubu, i ja, prowadziliśmy pannę młodą. Twarz Leona promieniowała radością... Tego samego dnia, Minister podpisałjego nominację na poborcę w R; było to miejsce nader korzystne.

Kiedy wieczorem po uczcie weselnéj i balu, gdzie Leon upoił się radością, wracałem do mego mieszkania, wpadłem w głębokie rozmyślanie i przez całą noc nie mogłem oka zmrużyć. Dla czego, mówiłem sobie, nie miałbym tak jak on uczynić?.. Jestem adwokatem, ale takich jest bardzo wielu! Kto wie, czy nie jestem przeznaczony bezczynnie żyć w dostatkach?.. Mam 12 tysięcy franków dochodu!.. gdybym też nagle miał ich dwadzieścia pięć tysięcy!.. Bardzo rano udałem się do Leona, i odkryłem mu moje marzenia. Możesz to uczynić, rzekł z miną

zakłopotaną, jednakże, namyśl się dobrze... na wszelki przypadek, dam ci tu małą szkatułkę, która ci zapewni zupełne bezpieczeństwo w wykonaniu twego planu, i spokojność jaką widziałeś we mnie, aż do ostatniéj chwili, pod tym warunkiem jednakże, iż otworzysz ją dopiero po moim odjeździe. Przyrzekłem mu to i wziąłem szkatułkę.

Nazajutrz, nowo zaślubieni odjechali z matką Natalji do R... Przy mnie wsiedli do powozu, i gdy pojechali, pospieszyłem do domu otworzyć szkatułkę. Był w niéj nabity pistolet i na dnie napis: „Kupiony dnia 31 Grudnia 1836 roku aby mi w dniu 31 Grudnia 1837, w przypadku nie udania się moich planów, roztrzaskał głowę,“... Stałem zmieszany i patrzyłem przez kilka chwil na morderczе narzędzie, zdające się oczekiwać na jaką czaszkę do roztrzaskania; potém ręka moja mimowolnie ujęła zeszyt akt processu, który nazajutrz miałem bronić... Szkatułka leży jeszcze zamknięta w moim gabinecie, gotowa na usługi każdego, ktoby w ten sposób jak mój przyjaciel, miał ochotę los sobie zrobić.

STO LAT SNU.

Paweł, był wesoły, dzielny młodzieniec, prawie jeszcze chłopak. Od dzieciństwa żyjąc na wodzie, dobrze poznał wszystkie własności tego żywiołu; patrzył marząc na gładkie zwierciadło morza, a śmiało wskakiwał w barkę, kiedy burza wznosiła wały jak wysokie wieże, i z niepokonaną siłą uderzała o strwożone brzegi. Paweł liczył długi szereg przodków, którzy wszyscy byli żeglarzami, i, chociaż w rozmaity sposób, wszyscy swój zawód chlubnie kończyli. I Paweł przywdział kaftan majtka, lekko zawiązał koło szji żółtą jedwabną chustkę, śnieżny słomiany kapelusz włożył na piękne, kręte włosy i poszedł w Roterdamie na pokład okrętu, którego kapitan właśnie zbierał ludzi, wybierając się do Indji.

Ale nim Paweł przygotował się wstąpić na zawsze na pokład i na długo oddalić się z swojéj

rodzinnéj ziemi, pobiegł wzdłuż tamy portowéj, na któréj końcu leżał niepozorny domek. Zapukał do drzwi, i wszyszła miluchna dziewczyna, z złotemi w pierścienie wijącemi się włosami, z błyszczącemi niebieskiemi oczyma, z zachwycającym uśmiechem na różanych ustach. Gladja, powitała młodzieńca przyjaźnie, i zaprowadziła go do czystéj, z holenderską troskliwością uporządkowanéj izdebki, gdzie stara kobiecina, siedziała przy oknie i przędła.

— Bóg z wami matko Jantzen, rzekł Paweł, a Gladja dodała:

— Matko, o to jest Paweł, zgodził się do kapitana wschodnio-indyjskiego i udaje się do Batawji, chciałby się z wami pożegnać.

Stara skinęła ręką nie spoglądając na młodzieńca, i rzekła:

— To dobrze! jedźże sobie, bądź porządnym i uczciwym, postępuj jak człowiek rozsądny, i zbieraj gorzko zapracowane pieniądze jeden do drugiego. No, idź.

— Przeklęcie krótka z wami sprawa! mruknął Paweł, a Gladja dodała pochlebnie.

— Ależ matko, czy Paweł nie wart przyjaźniéj'szego pożegnania?

— Tak przyjaznego jak tylko sam zechce. mówiła stara skrzeczącym głosem, może dostać moje błogosławieństwo nawet jeśli zechce; ale potém, daléj na pokład!

— I tak już mi długo stoi na drodze.

Te ostatnie wyrazy wymówiła sama do siebie.

— No, odpowiedział Paweł sucho, równie przyjęciem jak pożegnaniem nie najbardziéj zadowolony, właśnie chcę iść, ale najprzód jesteście mi jeszcze coś winni.

Stara zerwała się, i spojrzała na młodzieńca płonącém od gniewu okiem:

— Co? winna? Ja tobie coś winna? — Czyliż kiedykolwiek za moją kawę albo arak nie dopłaciłam ci choćby jednego stuwra? Patrzcie, co mu do głowy przyszło!

— Ależ ja nie powiedziałem żeście mi winni pieniądze, zawołał Paweł, coś innego od was mam dostać.

— Ciekawam co takiego?

— Rękę Gladji!

— Oho! czy tak? Któż to cię tak o tém zapewnił?

— Wy sami. Przypomnijcie sobie przyrzeczenie dane mojemu zmarłemu ojcu. Paweł i Gladja pobiorą się; to przyrzekliście sami biednemu ojcu memu, w godzinę śmierci jego.

— Tak, wtedy tak było!

— Ależ dziś wszystko jest tak samo jak było wtedy, tylko mój biedny ojciec już nie żyje. Jesteśmy jeszcze oboje biedni, i jeśli pan Bóg cudu nie sprawi, będziemy biednemi przez całe życie. Ale to nic nie szkodzi, mamy chęć do pracy i umysł wesoły, nie będzie nam zbywać na niczém.

Gladja przy tych słowach ukradkiem ścisnęła rękę kochanka, a żywy rumieniec twarz jéj oblał; ale stara mruknęła.

— Zwykła piosnka nędzarzy; rozsądne ucho nie słucha jéj.

— Zróbcie no koniec matko Jantzen; zawołał Paweł nalegając. Jutro nie będę już mógł przyjść na ląd. Zwołajcie kilku dobrze znajomych i uczciwych sąsiadów, i ogłoście nas narzeczonemi, boć przecie dawno jesteśmy niemi przed Bogiem. Wtedy odjadę z wesołym umysłem, a jak za parę lat powrócę, uzbieram sobie

tyle, żebym mógł sobie własną chatkę zbudować. Spieszcie się więc matko Jantzen, przystęp i odpływ morza, nie czekają na upodobanie ludzkie.

Tak mówił Paweł, a Gladja popierała prośbę kochanka, z wzniesionemi rękami i błyszczącemi oczyma, ale stara zawołała:

— Nie!

— Nie! powtórzył Paweł i przygryzł usta. Nie chcecie dziś obchodzić moich zaręczyn? To znaczy, że cofacie wasze słowo, dane mojemu ojcu; nie mam dostać waszéj córki?

— Bydź może! rzekła stara.

— Dobrze, odpowiedział Paweł, wiem nawet dla czego. Macie innego przyszłego dla Gladji, bogatszego! — Wiem kto on jest, chcecie ją staremu komendantowi portu, staremu garbatemu van Beest, oddać, ale ona go nie chce, nie może chcieć, a nie możecie téż zmuszać waszego dziecka, to byłoby przeciw wszystkim prawom boskim, i potrafię wam w tém przeszkodzić.

Wtedy stara rozgniewała się do najwyższego stopnia i zawołała:

— Co, ty niedojrzała płonko, mnie śmiesz grozić? Ciężkoby ci to przyszło. A więc Gladja nie

pójdzie za bogatego i znakomitego pana van Beest! Zobaczemy! Idź w twoją drogę chłopcze albo ci oczy wydrapię!

Paweł stał drżąc cały, czuł że gniew może go unieść za daleko, ale Gladja spojrzała nań błającym wzrokiem.

Młodzieniec zebrał zmysły, odsunął z lekka Gladją i rzekl do staréj:

— Szanuję wasz wiek pódeszły, dla tego teraz odchodzę, Staliście się względem mnie, biednéj sieroty, powierzonéj waszéj opiece, wiarołomnemi, chcecie przedać waszą córkę, i dwa serca, które się tak tkliwie kochają, przez wasze samolubstwo i okrucieństwo rozdzierać, tego potrójnego grzechu, nie przebaczy wam pan Bóg. Odchodzę teraz, ale zobaczemy się kiedyś, nie na wasze dobre.

Wybiegł z komnaty, a stara siadła z niemiłym uśmiechem przy swoim kolowrotku. Gladja pobiegla za młodzieńcem, spieszyła za nim ze wszystkiemi oznakami serdecznéj trwogi, uchwyciła jego rękę i rzekła drżącym głosem:

— Wszak nie zamyślasz nic złego, nic grzesznego? Zostaw mi w mojém opuszczeniu tę

jednę pociechę iż nigdy nie ustąpisz ani na krok z drogi cnoty.

Paweł przycisnął kochankę do serca, i zawołał: Nigdy, moja najdroższa, nigdy nie przestąpię przykazań boskich. Ale nie mogę cię opuścić, nie będąc z tobą zaręczonym; nie ufam twojéj matce i komendantowi, oni cię chcą jak biédne jagnię poświęcić. Dla tego nic nie będzie z mojéj podróży; dziś wieczorem jeszcze, odeślę suknie które otrzymałem od kapitana i zadatek. Wprawdzie nazwą mię człowiekiem nie słownym, przez kilka tygodni będę się musiał nieco ukrywać, i w dzień przynajmniéj nie wychodzić na ludne ulice, ale ty mi to wynagrodzisz, dla ciebie chętnie zcierpię największe przykrości.

— Czyń jak chcesz, drogi Pawle, odpowiedziała Gladja płacząc w milczeniu, tylko mi nie pozwól paść ofiarą tego obrzydłego van Beest, który mi się wydaje szatanem przybranym w ludzką postać, aby mu tém łatwiéj było gubić nas biédne stworzenia. Co wieczór, zobaczemy się tutaj choć na chwilkę, i szukać będziemy w miłości, pociechy dla naszych cierpień. Teraz

mój przyjacielu, ale pierwéj pomódlmy się razem, żeby nas pan Bóg i nadal z swojéj opieki nie wypuszczał.

Uklękli oboje i modlili się z cicha; potém wstali umocnieni na sercu i umyśle: Gladja wróciła do domu, a Paweł szedł spiesznie ku dotychczasowemu swemu mieszkaniu, i nagle trącił się z jakimś obcym. Ten ofuknął ostremi słowami młodego majtka, a Paweł cofnął się strwożony. — to był komendant portu, van Beest.

— Przepraszam, mynheer! rzekł młodzieniec, i chciał się oddalić, ale tamten zatrzymał go:

— Gdzie tak spiesznie? zawołał komendant. Aha, to ty, panie Pawle! Jeszcze na lądzie, a jutro przed świtem masz odpłynąć. No, no, spodziewam się że za to niedbalstwo, pobujasz sobie z pół dnia na wierzchu masztu.

Paweł chciał znowu oddalić się, ale komendant jeszcze go zatrzymał.

Gdzież byłeś? Zapewne u matki Jantzen z pożegnaniem, które pewnie dużo łez kosztowało. Nie będziesz miał sposobności do powtórnych odwiedzin, a jak wrócisz z Batawji, jeśli cię żółta febra nie pochwyci w swe szpony, znajdziesz wszystko zupełnie zmienione. No, teraz idź sobie, i bądź kontent, że jak samowolnego

włóczęgę, nie każę cię związać i zanieść na pokład okrętu, na którym zostałeś majtkiem.

Popchnął Pawła, który jakby na skrzydłach pospieszył do swego starego domu, a tymczasem van Beest udał się do mieszkania matki Jantzen.

Paweł uporządkował rzeczy, które stosownie do przepisów dostał od kapitana okrętu indyjskiego, dołączył otrzymane na zadatek pieniędze, i oddał wszystko znajomemu majtkowi, który mu przyrzekł odnieść to na pokład owego okrętu. Potém znalazłszy sobie na strychu domu w którym mieszkał, ciemną i bezpieczną kryjówkę, czekał z bijacém sercem, co następujący dzień mu przyniesie.

Van Beest bywał codziennie w domu matki Jantzen, jego przyszłe połączenie z Gladją wiadome już było całemu miastu. Wszyscy dziwili się i żałowali biédnéj dziewczyny. Ona co wieczór widziała się z swoim Pawłem; dobry jeńjusz strzegł ich schadzek, że ich nie odkryto. Pewnego wieczora Gladja przybiegła ze łzami w oczach.

— Pojutrze! rzekła stłumionym głosem, składając piękną głowę na piersiach trwożnie słuchającego młodzieńca, pojutrze jest ten dzień okropny, w którym mam być zaręczoną temu

szatanowi. Świadkowie schodzą się ze wszech stron. Jeśli to się stanie, jeśli mu będę musiała moję rękę oddać, ta chwila, będzie chwilą mojéj śmierci! Ocal mię Pawle, ocal, a jeśli nie ma innego sposobu, uciekajmy, pójdę za tobą gdzie tylko zechcesz.

— Dobrze, odpowiedział Paweł z ogniem, i przycisnął do serca ukochaną dziewicę; uczynię wszystko co człowiek zdoła uczynić. Postaraj się w ciągu dnia o ubiór majtka, w domu twojéj matki nie zbywa na takich rzeczach, ubierz się, i przyjdź tu jutro o téj saméj godzinie, a ja już tym czasem wynajdę sposób uratowania cię. Bądź zdrowa, moja najdroższa.

Spiesznie pożegnali się i Paweł pobiegł ku swemu mieszkaniu; zalewie sto kroków ubiegłszy, potrącił się z komendantem van Beest. Rozgniewany stary, poznawszy Pawła, zaczął głośno wołać na straż portową, aby schwytała dezertera. Paweł spiesznie do niego przyskoczył, zatkał mu ręką usta, i starał się przeszkodzić mu krzyczéć. Obaj pasowali się z równemi siłami, w tém van Beest pośliznął się i upadł jak długi na bruk; w téj chwili słyszéć się dało stąpanie mnóstwa nadchodzących ludzi, i Paweł jak strzała pobiegł w przeciwną stronę, korzystając z ciemności.

Dopiéro na drugim końcu portu zdala od owego miejsca, zatrzymał się; tchu mu zabrakło, piersi ledwie nie pękały z wysilenia, nie mógł się na nogach utrzymać. Ogromnie wysoki człowiek wystąpił z pośrodka mgły i przytrzymał go żeby nie upadł.

— Jakiż szatan każe ci tak biedz prędko? rzekł wysoki. Nie masz tak długich nóg jak ja. Ja sobie szedłem zwolna zupełnie i ledwo nie pękłem ze śmiechu patrząc jak ty zbierasz nogi. Nie masz ochoty wierzyć temu? a więc mię nie widziałeś. I nic dziwnego, miałeś dość do roboty z komendantem.

— Na miłość boską, ciszéj mówcie! zawołał Paweł.

— Dla czego, moje dziecko, rzekł obcy uśmiechając się. Tu nikt nas nie usłyszy. A doprawdy, dzielny jesteś chłopak, porządnie grzmotnąłeś starego o ziemię.

— Broniłem się tylko, odpowiedział Paweł pewnym głosem; on się pośliznął i upadł, temu już ja nie jestem winien.

— No, no, dobrze, rzekł znowu z uśmiechem obcy, to mi wszystko jedno. Ale widziałem, że jesteś łepski chłopak, a takich mi trzeba.

— Jeśli mię uwolnicie z mego okropnego położenia, będę wam wdzięcznym do śmierci, odpowiedział Paweł.

— Czemużby nie? rzekł obcy przyjaźnie. Jestem dowódcą fregaty, pojutrze wypływam pod żagle; nie mogę się ociągać; a że mi trzeba jeszcze ludzi, a więc wezmę cię, jeśli masz ochotę. Dostaniesz u mnie....

— Nic mię to nie obchodzi wiele dostanę, przerwał Paweł żywo. Bylebym pojutrze nie był już w Roterdamie.

— Skoro świt, będziemy już na morzu, mój chłopcze, o tém staranie mnie pozostaw.

— Zgoda, a więc jestem wasz! Widzę już zawczasu, że jesteście szlachetnym żeglarzem, i nie trudnicie się żadném zakazaném rzemiosłem.

Obcy odwrócił się, ale Paweł tego niezważał, rzekł tylko jeszcze.

— Ale jeden warunek.

— Żądaj mój chłopcze, uczynię co tylko zażądasz.

— Mam, zaczął Paweł nieśmiało, młodego towarzysza, który wprawdzie nie był jeszcze nigdy na morzu, ale ma niezmierną do tego ochotę i ani chce, ani może rozłączyć się ze mną, ponieważ nie ma innego opiekuna prócz mnie. Ale

młodzieniec ten przywykł do wygód, prosiłbym was zatém kapitanie, żeby mógł mieć osobną stancyjkę na waszym statku.

— Jesteś umiarkowany w twoich żądaniach, rzekł obcy. Twój młody przyjaciel mile będzie przyjęty, i przyrzekam dlań osobny pokoik. Ale teraz trzeba żebyś się ukrył, boby cię mógł komendant zwietrzyć, pierwéj nimbyś się dostał na pokład mojéj fregaty. Pójdź za mną, zaprowadzę cię w takie miejsce, gdzie sam djabeł nie znalazłby cię.

Obcy poszedł naprzód, Paweł szedł za nim w małéj odległości. Zatrzymali się w ciasnéj jednéj uliczce przed dużym domem, przez którego okna przebijało się mocne światło.

— Tu, rzekł obcy, jest dom w którym zwykle mieszkam, ile razy na ląd wysiędę. Znajdziesz tu większą część moich ludzi, zapoznaj się z niemi, nikt cię tu nie znajdzie, możesz bezpiecznie zostać tu do jutrzejszéj nocy; potém pójdziesz przyprowadzić twego towarzysza, i udasz się z nim na pokład; a potém, nim słońce wejdzie, będziemy na pełném morzu. Tu oto masz pieniądze, nie oszczędzaj mój chłopcze, potrafiemy znaleść czas, kiedy będzie można co zarobić, a żeglarz kiedy

jest na lądzie, powinien stroić się, być wesołym i rozrzucać pieniądze.

Paweł wszedł do wielkiéj oświeconéj sali, a obcy zostawił go tu, nie zajmując się nim już więcéj. Szumna muzyka odzywała się w jednym końcu sali, grupy tańczących mijały się w niewielkim porządku; przy długich stołach siedzieli weseli majtkowie, i wypróżniali ogromne kielichy. Paweł stał jakby wrósł w ziemię, nie był on dotąd nigdy w podobnych miejscach, każdą chwilę wolną od pracy przepędzał przy swojéj Gladji, i dla tego nie wiedział zupełnie co mu wypada czynić; wtém zbliżył się do niego jeden z biesiadników z kielichem w ręku, i rzekł:

— Jak możesz stać tu bezczynnie, kolego, wpośród tak wesołego towarzystwa. To się na nic nie zdało. Pójdź ze mną do stołu, zabawisz się dobrze z nowemi towarzyszami. Bawmy się pókiśmy na lądzie, bo życie na pokładzie, nie będzie tak wesołe.

Paweł niechętnie przyjął wezwanie i pomimo woli został zaprowadzony do stołu. Tu przyjęto go z głośnym krzykiem; z piętnastu towarzyszy, którzy głuszyli się wzajemnie, wzywając go aby pił z niemi jak na dobrego kolegę przystoi-

Przymuszony pić rum i wino dużemi kielicham i, wkrótce Paweł uczuł że go sen ogarnia i jak przez mgłę widział już tylko, jak rozgrzani zbytniém użyciem napoju biesiadnicy, zaczęli żwawą kłótnię i nakoniec przyszło do ręcznéj rozprawy. Pomimo krzyków i wrzawy, usnął, i obudził się dopiero nazajutrz przed południem. Znalaz się sam jeden w pośród obszernéj sali; drżąc wstał i chciał wyjść, obawiał się wsiąść na okręt, którego osada tak nie umiarkowane życie prowadzi. Ale przy drzwiach spotkał go kapitan i zapytał ostro:

— Dokąd?

— Chcę wyjść na ulicę, odetchnąć świeżém powietrzem, zobaczyć ludzi, głowa moja płonie, muszę wyjść.

— To być nie może! Przed godziną umarł stary komendant portu, szukają jego zabójcy! Ciebie powszechnie oskarżają o to morderstwo jeśli się pokażesz teraz na ulicy, schwytają cię niewątpliwie.

— Boże mój, jestem niewinny!

— Ale przyjaciele komendanta potrafją cię zrobić winnym. Musisz i poczekać do wieczora

potém pójdziesz po twego młodego przyjaciela, i udasz się z nim razem na pokład.

— Niechcę służyć na waszéj fregacie, wasi ludzie muszą być obrzydłemi zbrodniarzami.

— To wydam cię w ręce twoich nieprzyjaciół, i zostaniesz powieszony. Przytem jesteś dziecinny; widziałeś ich wczoraj trochę za nadto wesoło bawiących się, ale też to był ostatni dzień pobytu na lądzie, chcieli sobie wynagrodzić, za surowe życie jakie muszą prowadzić na pokładzie. Zobaczysz sam jaka karność na moim statku, i będziesz kontent żeś się do mnie dostał.

Kapitan oddalił się, a Paweł zaczął rozmyślać nad swojém położeniem. Nie miał w czém wybierać, jeśliby nie przyjął ofiary tego człowieka, musiałby wyrzec się swojéj Gladji a może i paść ofiarą zemsty przyjacioł komendanta. Gdy wieczór nadszedł, przybył kapitan i przez ciemne odludne ulice, zaprowadził go na to miejsce gdzie wczoraj spotkał się z komendantem. Paweł spojrzał trwożnie do koła, i o kilka kroków na zwykłém miejscu schadzki, ujrzał swoją Gladję. Przybiegła ku niemu i rzuciła się w jego objęcia.

— O mój miły, zawołała, ileż ucierpiałam dla ciebie. Ale ty nie jesteś zabójcą, nieprawdaż mój Pawle?

Upewnił ją najuroczyściéj o swojéj niewinności, i przeklinał los który go przymusza uciekać, i bez najdroższéj Gladji, którą więcéj niż życie kocha.

Gladja rzuciła mu się na szyję i zaklinała go aby ją wziął z sobą, jakibądź los miałby ich spotkać, bo za żadne skarby w świecie nie chciałaby rozłączyć się z nim i wrócić do domu, który stał się dla niéj piekłem.

— A więc pójdźcie! zawołał kapitan, występując nagle z pośród mgły, pójdźcie za mną spiesznie, bo tam oto, zbliża się patrol partowy, jeśli dłużéj pozostaniecie na tém miejscu, Paweł zostanie schwytany, a jutro powieszony.

Wziął ich oboje za ręce i poprowadził wzdłuż brzegów. Na samym końcu tamy portowéj, stało czółno z dwoma wioślarzami, wsiedli w nie, i z szybkością strzały puścili się przez wzdęte bałwany. Nagle ujrzeli przed sobą wpośród nocy wielki okręt, który zdawał się być olbrzymim potworem oczekującym z otwartemi ramiony na nowo-przybyłych.

Gladja nie miała odwagi podnieść oczu, ale Paweł na widok okrętu uczuł lekką trwogę i półgłosem zapytał jednego z wioślarzy:

— Jak się nazywa wasz statek?

— Djabeł i jego prababka! zawołał żeglarz z dzikim uśmiechem, a lekki dreszcz przebiegł wszystkie członki dwojga niewinnych dzieci, kiedy wstąpili na pokład i wskazano im ciasny kącik pod pokładem, na mieszkanie. Kiedy nazajutrz zrana obudzili się, miły rodzinny brzeg już był daleko, i w około widzieli tylko morze. Paweł udał się natychmiast do kapitana, i zapytał go, jaką mu robotę przeznaczy, na co tamten odpowiedział, że w krótce się dla niego znajdzie zatrudnienie.

Ale wkrótce Paweł przekonał się, iż znajduje się na okręcie korsarskim, który się dopuszczał najobrzydliwszych czynów okrucieństwa i zbrodni. Gladja postradała zmysły przy tém pierwszém odkryciu i nie mogła łez swych wstrzymać.

— Wypłaczę sobie oczy, rzekła łkając do Pawła, aby nie patrzéć na te zbrodnie które oni popełniają.

Paweł stale oświadczył, iż nie dotknie się do żadnéj roboty, i żądał aby ich wysadzono na

najpierwszy brzeg do którego się zbliżą. Smiano się z niego i zapewniono, że jeśli w ciągu trzech dni, nie namyśli się rozsądnie, zostanie razem z swoją kochanką rzucony w morze.

Ale nim jeszcze trzy dni upłynęły, powstała okropna burza, która rzucała okrętem jak piłką. Gwałtowność jéj coraz wzmagała się, i co chwila czekano rozbicia okrętu. Na pokładzie panowało największe zamieszanie, majtkowie zwątpiwszy o ocaleniu, postanowili umrzéć przynajmniéj wesoło. Wytoczono kilka beczek araku i wszyscy zaczęli wychylać duże kubki tego napojn. Naprożno głos przełożonych wzywał do porządku, już woda zaczęła się wdzierać do okrętu, a nikt nie chciał wziąść się do pompowania jéj, obrzydłe przekleństwa odpowiadały na głos rozkazujący dowódców. Paweł i Gladja skryci w swoim kąciku modlili się gorąco do Boga aby ich wyrwał z niedoli.

Kapitan z kilku starszemi zebrali się w celu naradzenia się nad sposobami ocalenia statku. Jeden chciał to, drugi owo, i nie mogli się na jedno zgodzić. Nakoniec kapitan zawołał piorunującym głosem, dobywając z za pasa dwa pistolety. Do dzieła! zwinąć żagle, pompować

wodę, wyrzucić w morze wszystkie nie potrzebne ciężary, w łeb wypalę każdemu kto pozostanie bezczynnym. Podpili majtkowie. strwożeni gniewem kapitana, którego gwałtowność dobrze znali, rzucili się szybko do wykonywania jego rozkazów, wszystkie pompy zajękły pod silnemi rękami wprawnych majtków, zaskrzypiały liny żaglowe, wrzucono w morze połowę dział. Paweł i Gladja, drżąc pomagali pompować wodę i wylewać ją w morze. Jeden tylko człowiek, starzec około lat siedmdziesięciu, klęczał w kącie, i głośno modlił się, aby mu Bóg odpuścił grzechy w godzinie śmierci.

Tymczasem burza nie ustawała i okręt ciągle znajdował się w niebezpieczeństwie zatonienia lub rozbicia się o skały.

— Jabym wiedział sposób uspokojenia burzy, rzekł jeden z majtków, z najeżonemi włosami i potarganą brodą, który zawsze był najpierwszym ilekroć szło o dopełnienie jakiego występnego czynu. Trzeba rzucić w morze tego starego łotra co tam tak wzdycha w kącie. Jego modły obrażają naszego patrona, szatana. Oddajmy go na ofiarę, a burza uspokoi się natychmiast.

— W morze starego! zawołali zbrodniarze, ; pomimo prośb i łez Pawla i Gladji którzy rzu

cili się do nóg kapitana błagając o życie biednego starca, porwano i rzucono go w morze.

— Panie, to nie nasz występek! nie mamy udziału w téj okropnéj zbrodni! Wybaw nas z téj otchłani, daj nam śmierć lekkę, i weź nas do twojéj chwały! zawołali wznosząc ku niebu ręce, dwaj młodzi kochankowie.

W téj saméj chwili, kiedy ciało nieszczęśliwego starca dotknęło się powierzchni morza, ujrzano olbrzymią rękę, krwawo-czerwoną i gniewnie ścisnioną pięścią grożącą okrętowi. Burza ustała natychmiast, opadły wzburzone wały, morze stało się podobném gładkiemu zwierciadłu, żaden oddech wiatru nie poruszał powietrza; majtkowie stracili mowę i jeden po drugim padli na pokład, i leżeli bez ruchu; wszystko w około przedstawiało obraz śmierci.

* *
*

Sto lat upłynęło od tego okropnego dnia; wtém okręt jakiś, bez żagli i steru, wpłynął do portu w Roterdamie. Mnóstwo zbiegło się ciekawych, wszyscy patrzeli w milczącém podziwieniu na ten okręt, który na ostatnim końcu

portu zatrzymał się; ale kiedy znaczny przeciąg czasu upłynął, a żadna żyjąca istota nie okazała się na pokładzie tego statku, kilku najśmielszych popłynęło ku niemu na czółnach, i weszło na pokład dla powzięcia jakiéj wiadomości. Jakże przestraszyli się, ujrzawszy cały pokład pokryty skieletami. Ten przestrach zmienił się w nadzwyczajne podziwienie, kiedy pomiędzy skieletami, znaleźli dwie młode piękne postacie, które zdawały się spać słodko i spokojnie. Ale w kilka chwil dzieci obudziły się, i z milczącym uśmiechem spojrzały do około. Ujrzały wieże Roterdamu, port, i wszystkie znajome budynki, padły na kolana, i ze łzami w oczach zawołały.

— Dzięki ci Panie na wysokości! To był tylko sen.

Wtém spojrzeli na leżące do koła skielety, i zadrżeli. Zaczęto do nich mówić, obsypywano ich pytaniami. Otwarcie opowiedzieli co im było wiadomém. Gladja zaklinała swego przyjaciela aby nic nie ukrywał; Paweł wszystko opowiedział jak się stało. Podziwienie, prawie przerażenie przejęło wszystkich obecnych, chociaż wiele w tém opowiadaniu zdawało im się nader

dziwnym. Nikt nie znał matki Gladji ani komendanta van Beest który nie dawno miał umrzeć. Nakoniec starzy ludzie przypomnieli sobie iż kiedyś od rodziców swoich słyszeli podobną powieść; jeden nawet pamiętał jak mu mówiono że okręt korsarski pod nazwą: „Djabeł i jego prababka,“ rekrutował ludzi w Roterdamie.

— Ale to temu sto lat! zawołał jeden z straży portowéj, i jak mój dziadek powiadał, a był wtedy tém, czém ja dziś jestem, okręt ów stał zupełnie w tém miejscu gdzie ten teraz.

Jezus Marja! zawołali obecni, podczas gdy Paweł i Gladja spojrzeli wzajemnie na twarze swoje,—a toż to imie okrętu znajduje się nad sterem wielkiemi starożytnemi literami napisane.

I wszyscy z trwożném uszanowaniem spojrzeli na dwoje młodych ludzi, których pan Bóg zasłonił tarczą opieki swojéj w złéj godzinie i po stu latach snu, obudził ich teraz, aby wymowne złożyli swiadectwo jego wielkości, potęgi i dobroci. Udano się z niemi na ląd, i poprowadzono ich do kościoła świętego Maurycego, i tam

przed wielkim ołtarzem, Paweł i Gladja złożyli bogu dziękczynne modły za cudowne ocalenie ich i kapłan połączył ich związkiem dozgonnym. Wszyscy obecni na kolanach w pokorze wielbili Najwyższego. Ale gdy uroczyste nabożeństwo zakończyło się Paweł i Gladja wyrzekli razem: „Panie, w ręce twoje oddaję duszę moję" i upadli na stopnie ołtarza.

Przestraszony kapłan przybiegł do nich, i znalazł ich nieżywych.

W tém samém miejscu gdzie umarli, złożono obok siebie ich ciała i grób ich do dziś dnia okazują cudzoziemcom i opowiadają im powyższą powieść.

Kiedy ciekawi wyszli z kościoła i wrócili do portu, aby przyjrzéć się lepiéj owemu okrętowi już go nie było; znikł, i już go nikt odtąd nie widział.

WIDZENIE.

Podczas wojny Napoleońskiéj w Niemczech, pułkownik bawarski v. F*** po bitwie pod Hanau, z jednym tylko żołnierzem, wracał z głównéj kwatery naczelnego wodza, na swoje stanowisko. Droga jego szła przez lasek, a że słońce bliskie już było zachodu, popędził konia do szybkiego kłusa, aby przed nocą jeszcze stanąć u celu.

Spoglądając wokoło podług zwyczaju bacznem okiem, ujrzał nakoniec w dość znacznéj odległości, drzewo prawie przy drodze stojące, na którém wisiała tablica z świecącym napisem. Ciekawy dowiedzieć się co to być może, zaciął konia ostrogami i popędził ku owemu drzewu. Ale jakże zadziwił się, kiedy podjechawszy tak blisko że mógł przeczytać napis na owéj tablicy ujrzał swoje imie i nazwisko, miejsce i dzień u-

rodzenia, i—któż opisze zadziwienie tak śmiałego i wolnego od wszelkich zabobonów męża — nawet dzień jego śmierci, napisane ognistemi literami na tablicy,

Dobył natychmiast puljares, aby napisać to co widział. Żołnierz któremu półkownik wskazał drzewo i tablicę, oświadczył, iż nic nie widzi a Baron przybliżywszy się aby dotknąć się tablicy, nie znalazł nic prócz powietrza, chociaż ciągle widział przed sobą to dziwne zjawisko.

Nie zajmując się tém dłużéj, postanowił nie wspominiéć nikomu o swojém widzeniu, żołnierzowi także zakazał mówić o téj okoliczności, i wkrótce przestał zupełnie myślić o tym wypadku.

Wojna, która bohatera naszéj powieści, pozbawiła lewéj ręki, wzięła nakoniec szczęśliwy dla Niemiec obrót i baron otrzymawszy pensję jako wysłużony, obrał mieszkanie w miasteczku Zweibrücken.

Przywykły śmiało i bez wachania przyjąć w każdéj chwili los jaki mu będzie przeznaczony, i nieobawiać się śmierci, z którą przez cały przeciąg swego wojennego zawodu, w bardzo blizkich ciągle znajdował się stosunkach, przeżył nasz baron przeznaczony mu podług owego widzenia, czas do życia, spokojnie i wesoło. Nakoniec zbliżał

się ów stanowczy dzień, z którego ostatnią godziną, zgasnąć miała pochodnia życia naszego bohatera. Aby ostatnie swoje chwiłe jak najprzyjemniéj spędzić, baron F*** zaprosił do siebie na ten dzień najlepszych swoich przyjaciół, i w listach zapraszających oświadczył im, iż z dopełnienia prośby jego, sądzić będzie o ich koleżeńskiéj przyjaźni. Ten dodatek do zaprosin, zebrał w dniu naznaczonym wszystkich prawie wezwanych. Pułkownik przyjął ich z najprzyjaźniejszém wylaniem serca, i teraz dopiero objawił im przyczynę zgromadzenia ich w tym dniu u niego.

— „Chciałem, dodał, ostatnie dni mego życia, w gronie przyjaciół, z któremi tyle niebezpieczeństw dzieliłem, wesoło i szczęśliwie przepędzić.

Dziwili się wszyscy usłyszawszy, że pułkownik spodziewa się w tym samym dniu umrzéć, i starali się zbić jego zabobonne przesądy, jak je nazywali, zwracając uwagę jego na czerstwe zdrowie jego i siły prawie młodzieńcze; udało im się to nawet pozornie, ponieważ pułkownik nie chciał żeby rodzina jego dowiedziała się o téj tajemnicy.

Wposród przyjemnéj zabawy, jaka zwykle ma miejsce pomiędzy dawnemi towarzyszami boju, którzy ciągle żyli z sobą w szczeréj przyjaźni, zbliżała się coraz bardziéj fatalna godzina; minęła już jedynasta, a nasz weteran czuł się najzupełniéj zdrowym. Ponieważ sam już zaczął nie wierzyć w prawdziwość owéj przepowiedni, opowiedział zatém rodzinie swojéj, owe zdarzenie podczzs wojny: powieść ta wprawdzie uczyniła z razu na wszystkich członkach rodziny smutne jakieś wrażenie, ale następnie powróciła ogólna wesołość, na widok pogodnéj uśmiechającéj się twarzy ojca familji.

Wkrótce zabrzmiał przy głośnym dźwięku kielichów, toast na długie życie i zdrowie pułkownika, na który właśnie chciał z podziękowaniem odpowiedziéć, kiedy zegar zaczął bić dwunastą. Nie zważając na to, napełnił sobie szklankę ananasowym ponczem, i z uprzejmym na wszystkie strony ukłonem, wzniósł toast za zdrowie wszystkich obecnych, i poniósł szklankę do ust. W téj chwili zabrzmiało ostatnie uderzenie dwunastéj, kielich wypadł z ręki pułkownika, który zbladł nagle, i tknięty paraliżem, upadł bez życia na sofę, na któréj poprzednio siedział.

Jakie wrażenie sprawiło na wszystkich przytomnych to smutne zdarzenie, łatwo sobie każdy wystawi.

OSTATNIE USTRONIE.

SONET.

Ubiegły życia mamiące motyle;
Nie mogę żądać, ani się spodziewać.
Tu chcę dni resztę, przepłakać, prześpiewać,
Uczuwać myślą dawnych pieszczot chwile.

Tu żyć zacząłem, tu tchnienia wysilę.
Może tu Laura wróci bluszcz zasiewać,
Znanéj doliny uschłe kwiatki zlewać,
I tu me imie, znajdzie na mogile.

Wtenczas, dolino, przez pamiątek tchnienia,
Ty jéj me życie i zgon mój opowiedz,
Niech choć za grobem zyskam jéj wspomnienia.

Już w porcie życia przystaje wędrowiec,
Ja nie zdołałem wzbudzić w niéj westchnienia,
Może je kiedyś wzbudzi mój grobowiec.

K.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

SPIS RZECZY.

W TOMIE DRUGIM ZAWARTYCH.

Półrocze drugie.